NUMER 21. DNIA 22. MAJA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

HENRYK STANLEY.

Kiedy przyszły historyk będzie szukał przyczynków do psychologji naszych czasów, napewno przeczyta z ciekawością i zanotuje sobie następną charakterystykę Stanley'a, tego Pizzara XIX. wieku: „Na najświetniejszą kartę naukowego podróżnictwa współczesnego padła smuga żałobna. Henryk Stanley, odkrywca Afryki wewnętrznej, który podarował cywilizacji olbrzymie obszary nieznanego przedtem nikomu świata, umarł“.

Nie wiem, na jakiej zasadzie imię tego ciemnego, zuchwałego awanturnika, gwałtem wtłaczane jest w szeregi A. Humboldta, Livingstona, Reclus, Nordenskjölda, Nansena i tylu innych, istotnie jasnych i sławnych imion. Przecież ten człowiek nic nie odkrył i nic nie dał ludzkości, gdyż przejście ogniem i mieczem przez krainy, które już zaczęły wchodzić w zakres badań naukowych, powstrzymało jedynie ich dalsze poznanie. Henryk Stanley zaszkodził ludzkości przez wzbudzenie nienawiści rasowych, zaszkodził ludzkości przez powtórzenie okropnych scen zawojowania Ameryki... zaszkodził nareszcie ludzkości przez wzbudzenie w Europejczykach dzikich instynktów, uczczonych w jego osobie... Stanley, którego imieniem murzynki straszą swe dzieci, nieuk i kłamca, którego opisów wstydzi się cytować i nie ufa im żaden poważny uczony, zabójca setek niewinnych ludzi dla celów samolubnych, dla własnej karjery, gdyż gubił ich, niby to ratując Livingstona i Emina Paszę, gdy tymczasem obu żadne nie groziło niebezpieczeństwo i zaczęło się ono dopiero po przybyciu nieproszonego obrońcy — człowiek, któremu podanie ręki w swoim czasie zakwestjonował jeden z wybitnych i szlachetnych Anglików — taki człowiek stawiany jest na świeczniku ludzkości i żałują jego śmierci, gdy tymczasem należałoby powiedzieć: szkoda, że się urodził. Protestuję przeciwko czci Stanley'ów! Miejsce im na haniebnej liście ludzkości!

Wacław Sieroszewski.

Budujcie, budujcie gmach!

Młodym poświęcam.

Budujcie, budujcie gmach!...
Wkoło was zgliszcza, ruiny,
A z ruin wyłania się siny,
Na wpół odarty już z ciała
Budowniczego trup!
Tego, co stawiał zamczyska,
Tego, co wznosił wieżyce,
Wysokie, górne, strzeliste!
Ślad wieżyc tylko połyska,
I ruin rzesza bezmierna!

Budujcie, budujcie gmach!...

...Legnął ten budowniczy,
Dusza mu z ciała uciekła,
Ciało mu z kości opada!
Słaba powłoka, blada,

Gdy dusza z ciała uciekła,
A wielki, być może, duch!

Budujcie, budujcie gmach!
Strojcie go w pióra, sztandary,
Skrzydłami strojcie go swemi!
Z marzeń i z ziemi
Zbierajcie wszelkie dostatki:
Moce, i siły, i kwiatki,
Co więdną ku dniowi drogiemu...
Zbierajcie, zbierzcie tak wiele,
By wykwitnęło na czele
Waszego gmachu świętego,
Błyskaniem w niebo przejasnem,
Obłędnym świtem jarzącym!
By zapaliło się słońcem,
By słońcem samo się stało!

Budujcie, budujcie gmach!
Budujcie śmiało!

Trupy, co wkoło nas leżą
Pokotem, leśną rubieżą,
Wznosiły gmachu podstawy!
Dziś widok łzawy!
Hej, trupi ślad ich istnienia
Niech oczu wam nie zacienia!
Niech myśli wam nie narusza!

Znikła ich dusza,
Znikła, co kiedyś w nich żyła!...

Budujcie, budujcie gmach!
Natężcie siły wasze ogromne,
Woli waszej dajcie upusty,
Wy, budowniczowie żyjący!

Budujcie, budujcie gmach!
Pókiście przy budowaniu,
Nie zmoże was strach!
Pókiście wy przy robocie,
Nie pożre wczorajszy dzień!
Pókiście w trudzie i pocie
Nie przyjdzie zwątpienia cień!

...A kiedy przyjdzie...
...Ach! Wy, młodzi!
Budujcie, budujcie gmach,
Wy, młodzi!
Krótkie lata...
Krótkie wasze lata!
...A wiek chłodzi,
Zwątpienie w myśli się wplata,
Zwątpienie w 'serce przychodzi.

...Ach wy, młodzi!
Budujcie, budujcie gmach!
U tęczy barw,
U słońca bierzcie promieni,
Z wulkanów żar,
Niech topi kruszce twarde.
Czar bierzcie, czar!
Gdzie tylko widny czar!
Ułudzie otwórzcie oczy,
Ułudzie, co prędko mija!
Dziś schodzi ku wam z przezroczy,
Niech się nią wzrok upija,
Niechaj ją całą bierze!
Szerzej, szerzej,
Otwórzcie na nią źrenice.
Nic, że błyskawice
Mknąć chcą przed wami gdzieś wdal,
Że szelest fal
Przebrzmiewać chce!
Ułudę bierzcie, czar,
Trwający chwilę jedyną
I rozciągajcie ją wielką
Oponą ponad krainą!

Budujcie, budujcie gmach!
Ze wzniosłych marzeń,
Niebosiężnych szczytów,
Górnych błękitów!
Choć pod błękitami
Pogrzebione spoczywają nadzieje!
Choć ciemności po słońcu nastają,
Choć inni w ciemni stąpają
— Mówcie, że dnieje!

Mówcie, że świty niesiecie.
Budujcie, budujcie gmach!
Najwyższy gmach z nadzieji i wiar
Budujcie gmach!
A choć to złuda i czar —
Budujcie gmach!

Budujcie, budujcie gmach!
Niech wyżny jego szczyt,
Wbija się w górne mgły,
Co jako rzęsne łzy,
Zakryły słońca świt,
Ściemniły światła brzask!

Budujcie, budujcie gmach!
A weźcie w swoje ręce
Bolesne serca w męce,
Wasze serca weźcie własne.
Jako kryształy przeźrocze,

Wasze serca świecą, jasne,
I zatrzymują blask,
I rozświetlają oczy,
Jak glorją błogosławioną,
Zdobytą w pośród łask
Modłów żarzących się wiarą!

Krwi waszej weźcie rubiny,
Serdecznej waszej posoki
I lejcie ją na opoki,
Które nieść macie w wyżyny,
Które nad siebie wznosicie!

Przemija życie!
I zapomnienia mknie fala,
A to, co dzisiaj nam zbliża,
— Jutro oddala...

Budujcie, budujcie gmach!
Wam, szczyt ten jego jest żywy,
Wiecznie trwający, prawdziwy,
Dajecie mu z serca krew!
...Przeminie, wszystko przeminie,
W czasu utonie głębinie,
W czasu się ciemni oddali...
Ale wasz siew
Innym zabłyśnie na fali,
Na fali życia innego,
Budowniczowie młodzi!
I w świętych łzach,
Ten inny duch wyswobodzi
Zaklęty przez was śpiew
I dalej rzuci siew!
Budujcie, budujcie gmach!

MARCELINA KULIKOWSKA.

Kraków. W maju.

MARJA JARMUND. 6)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Jaki jest właściwy cel ludzkości na ziemi, nie udało się jej jeszcze odgadnąć, bo pomimo zaprzeczeń, celowość może bezwiedna i tylko instynktowa, ale istnieje z pewnością. Kilkotysiącznoletnie dzieje ludzkości stwierdziły ją zupełnie. Być może, iż jednem z głównych zadań człowieka na ziemi będzie poprawienie tego, co z niewytłómaczonych dla nas powodów pozostało złem, niesprawiedliwem i okrutnem w przyrodzie, jak naprzykład potrzeba tępienia istot żyjących dla utrzymania życia własnego. Jeżeli chemja dojdzie do odtwarzania mięsnego pożywienia, o czem nie można wątpić, to ludzkość poprawi i uduchowi przyrodę, uwalniając ją za pomocą wiedzy, od najwstrętniejszego z rządzących nią praw, a gdyby oprócz tego nic już więcej nie zdołała wykonać, to i tak byłby dostatecznie usprawiedliwiony jej pobyt na świecie. Zadanie sztuki nie mniej jest ważne. W niej, jak w czarodziejskiem zwierciedle, nietylko wszystkie zmiany, zachodzące w świecie realnym i w świecie ducha, z całą prawdą się odbijają, lecz zebrane w jeden snop światła, tworzą z nich syntezę, która się ideałem nazywa. Przez nią, jak przez pryzmat przepuszczone promienie, kaskadami tęczowych blasków olśniewają oczy zachwyconych tłumów. Nie warto byłoby żyć na świecie, gdyby sztuki nie było, gdyby ona nam nie złociła szarych i smutnych dni, gdyby przestała być mistrzynią a zarazem rozkoszą i radością życia. Ale na to, aby jej działanie mogło zachować posiadadany dotychczas wpływ, nie powinna się ona odwracać od rzeczywistości, i otulona w mgły mistyczne, unosić wyłącznie po nad ziemię. Sztuka wielka, prawdziwa sztuka wszechświat cały ogartuje. A niema pewnie jednego zakątka ziemi na świecie, gdzieby wielki, prawdziwy artysta znalazł więcej głębokich i subtelnych, niż u nas zagadnień, których strona mistyczna ani zbadaną ani zużytkowaną nie została. Co za tajemniczy wpływ wywiera na wszystkie prawe umysły wyraz — ojczyzna. W chwilach napięcia, wstrząsa on jak huragan sercami ludzi, którym użycza nadprzyrodzonej potęgi, stwarza z nich bohaterów, półbogów. Co za uczucie zmusza cichych, nie szukających sławy prostaczków, do zadziwiających czynów odwagi i poświęcenia, jakie niegdyś było udziałem tylko męczenników za wiarę, co ich popycha i zmusza może b e z w i e d n i e, może w b r e w własnej woli do znoszenia prześladowań, udręczeń, knutów moskiewskich, kopalń syberyjskich, albo śmierci na szubienicach? Tajemnica! Któż uchylić zdoła rąbek zakrywającej ją mistycznej zasłony? Chyba genjusz... Ludzie ci mogliby żyć spokojnie, szczęśliwie, poddając się biernie okolicznościom, przyjmując cierpliwie spełnione fakty i nie zrywając się do nierównej walki z przemocą. Jakież zatem więzy trzymają skrę-

powaną ich duszę, co za instynkt popycha do działania na własną zgubę? Oto zagadnienie, sięgające do głębszych otchłani „nieznanego“, niż zagadnienia na tle miłości zmysłowej, przez modernistycznych autorów bezustannie roztrząsane. Musi tu działać ta sama, lecz spotęgowana siła, która popychała „Księżniczkę Malenę“ Maeterlincka, niepowstrzymanie na drogę, wiodącą do cierpienia i męczeństwa. A zatem i w tych „głupich przypadłościach życia“ mieszczą się objawy mistyczne o bezdennych głębiach, tylko nie każdy umie się na nich poznać.

Sztuce nie wolno odwracać się od życia, zatykać uszów i zamykać oczów na pragnienia i porywy społeczeństwa, z którego łona wyszła, inaczej to społeczeństwo pozostawi ją na uboczu i samo pójdzie dalej swoją własną drogą, nie oglądając się na nią. Tem bardziej zaś nie powinna ona, która jest nektarem i ambrozją życia, zamieniać się w czarę zabójczej trucizny, bo wyrwać się wtedy może okrzyk bolu z miljonowych piersi: nie chcemy was znać, gdyż „źle się bawicie, dla was to jest igraszką, nam idzie o życie“.

Wprawdzie, że tam któryś artysta nie odczuje cierpień i rozpaczy, szarpiących sercami miljonów, to mała strata, tem gorzej dla niego, nie będziemy mu stawiali pomników, jak Mickiewiczowi w Warszawie, ani całowali przed nimi marmurowych stopni ze łzami w oczach i na tem koniec. Cała sztuka jednak nie pójdzie za tym przykładem, zamiast podnosić i umacniać, nie będzie godzić w najboleśniejsze struny naszego serca i grozić nam zagładą. A gdyby się okazało przeciwnie, gdyby nas miała opuścić i ten promień światła, do którego wyciągamy dłonie zagasić, to niech raczej ginie i przepada, bo ocalenie życia ważniejsze jeszcze, niż ona.

Nie traćmy wszakże nadziei, że do tej ostateczności nie przyjdzie. Wyspiański, nie przestając być modernistą, pokazał, co wydobyć można z uczuciowych dramatów narodu i nie może się skarżyć na obojętność tłumów, które się odrazu poznały, że jest wielkim artystą i potrafiły mu bez długich namysłów, pierwsze miejsce w Panteonie dzisiejszych poetów oznaczyć. Może też jego przykład innych zdoła za sobą pociągnąć.

Można poczytać za prawdziwe szczęście i za wielką na przyszłość otuchę, że najmłodsi nasi poeci zwrócili się do Słowackiego i uznali go za wzór godny naśladowania. W nim istotnie znajdą wszystko, czego tylko nowoczesna twórczość zapragnąć może i co stanowi cechę dzisiejszej sztuki, zacząwszy od nadludzkiej postaci Króla-Ducha, skończywszy na mistycyzmie, połączonym z wiarą w pielgrzymkę duszy, odradzającej się i powracającej w coraz nowych postaciach na ziemię, jakkolwiek wiara ta w odmiennej formie pojęta i na innej, niż dzisiejsze, oparta była hipotezie. Wszystko zaś owiane takim zapałem, taką miłością i takim żarem dla nieszczęśliwej sprawy ojczystej, jaki w sercu namiętnie kochającego syna płonie dla pokrzywdzonych, cierpiących rodziców. Kto w łonie swojem tak wielkiej miłości nie zdoła rozniecić, ten napróżno kusić się będzie o zajęcie w narodzie dominującego stanowiska.

Ciągle powiadam, że kraj się już pali
I na świadectwo rzucam ognia zdroje
A to się pali tylko serce moje!

Niechże z tych zdrojów ognia choć jedna iskierka zapłonie w sercach naszych modernistów, a naród ich wielbić będzie, jak dziś wielbi ich mistrza.

Hipoteza wędrówki dusz, czyli metempsychoza stanowiła podstawę wiary i filozofji najstarszej z ludzkich cywilizacji. Rozwinęła się u Indusów. Wedle nich dusza za przestępstwa, popełnione w zaświatach, skazana zostaje na przybranie ziemskiej powłoki, w której ma odbywać pokutę. Odtąd jedynem jej dążeniem będzie powrót na łono bóstwa, zkąd została oderwaną, to jest złączenie się z boską duszą wszechświata. Dojść zaś może do tego celu przez życie, oddane cnotom, umartwieniom, bogobojnej kontemplacji, pogardzie ciała, jak i wszelkich zmysłowych rozkoszy. Dusze, które nie przestrzegają tych przepisów, w coraz większe błędy i grzechy wpadając, po śmierci zmuszone są do rozpoczęcia nowej po świecie wędrówki, zaczynając od najniższych kształtów, aż oczyszczone w końcu z wszystkich skaz, połączą się z pierwotną istnością, z której wyszły, czyli utoną w nirwanie. Pojęcia te mistyczne, nie dające się jednak niczem rzeczywistem uzasadnić, nie przyjęły się u ludów, realniej i trzeźwiej na świat patrzących. Powracały jednak często, w rozmaitych czasach i formach, aż je Towiański za podstawę swej nauki przyjął, a za jego pośrednictwem dopiero zapuściły głębokie korzenie w umyśle Słowackiego.

„Kurjer Lwowski". Ilustrowany Dodatek Świąteczny.

Z wrażeń norweskich.

Podróż po Norwegji budzi zainteresowanie turysty — nie tylko ze względu na specjalne, geograficzne warunki tego kraju, jego wspaniałą przyrodę, owo nagromadzenie szczytów górskich i malowniczych zatok oceanu dostarczających oczom niezwykle pięknych wrażeń, lecz, interesują podróżnika i mieszkańcy tej ziemi, oglądani dawniej po przez pryzmaty dramatów Ibsena i Björsena, owi potomkowie średniowiecznych, ruchliwych, jak rozlewające się fale Normanów, prawnuki przedsiębiorczych Wikingów, wyruszających z nieustraszoną odwagą na podbój świata.

W miarę zapoznawania się z dziką, niedostępną, groźną, niekiedy znowu łagodną i szczodrą, różnorodną, a tak zawsze niepospolitą przyrodą Norwegji — pragnie się odnaleść i drogi, za pośrednictwem, których oddziaływała ona na człowieka.

Norwegja — to kraj bardzo słabo zaludniony, zaledwie 7 mieszkańców przypada w niej na jeden kilometr kwadratowy. Miast tam mało, a istniejące są niewielkie (Chrystjanja liczy 200.000 mieszkańców Bergen 70.000, Trondhejm około 40.000) i noszą pewne cechy miast prowincjonalnych. Mieszkania ludzkie: fermy i osady rybackie — rozrzucone na ogromnych przestrzeniach, oddalone od siebie. Rozdzielają je morza, góry i wysokie, mało dostępne przełęcze, zatoki wąskie, wyrąbane w niebotycznych skałach. Siedziby ludzkie rozsiane są pośród skąpych, górskich pastwisk, pośród cichych nad jeziorami położonych kotlinek, albo też otoczone ogromnymi lasami, nad wąskimi zaś wybrzeżami fiordów i wysp niezliczonych — przyczepione są do stóp skał niedostępnych, pośród których długo żeglować wypada, zanim się dobije do innej, najbliższej osady ludzkiej.

Majestatyczna przyroda góruje wszędzie ponad skąpymi dziełami rąk ludzkich i mowa jej wypełnia otaczającą pustkę i ona to głosem po nad wszystko silnym — przemawia do człowieka.

Gdy nadciąga zima zapanowują na północy długie, samotne noce, usposabiające do rozmyślań i wgłębiania się w siebie; jednocześnie podnieca się wyobraźnia, czyni się ona podatną do niezwykłych wzlotów, zaludnia pustkę całym światem tworów własnych, snuje powieści o upiorach i duchach, zaziera w rzeczywiste i urojone tajnie istnienia.

Wiosną — przyroda tętni życiem wzmożonem. Kotlinki górskie — wypełniają się hukiem lawin, po morzach spływają kry lodowe, fale oceanu piętrzą się wysoko po nad łodziami rybaczemi, wszędzie osaczają człowieka widma czynnych niebezpieczeństw, natura wyzywa go do walki, uczy zaglądać w przepaściste oczy śmierci, a dla utrzymania się przy życiu — bronić mu się każe całą siłą mięśni i mózgu.

A potem nadchodzą radośniejsze chwile. Błogosławione słońce zapala się jaskrawo na letnie miesiące, zawisa na długie dnie letnie ponad utęsknioną ziemią, wypełnia jej powierzchnię życiem i ciepłem, rozwija bogate kobierce roślinne, wydobywa zewsząd siłę, pęd, bujność, ubiera wszystko w barwy i blaski, wszystko darzy łaską swoją, i ciężką pracę ludzką hojnie nagradza — pozwalając dojrzewać zbożom w polach i owocom w sadach.

Wszystkie te potężne, wszechwładne, nieposkromione, szczere zjawiska natury przyczyniają się bez wątpienia do wydobycia z duszy ludzkiej głębokich tonów, do wypełnienia serca uczuciami żywemi, do wyrobienia w sobie, na wzór przyrody, rysów silnych, pewnych, stanowczych, a bardzo różnorodnych.

Przyroda norweska — wywołuje konieczność do nieustannej z nią walki, odnoszone nad nią zwycięztwa wyrobiły w człowieku poczucie wartości własnej i usiłowania prób dalszych, nowych, rozwinęły w nim przedsiębiorczość i zmysł przygód.

Być może, że jej bezustannemu oddziaływaniu na ducha ludzkiego — przypisać należy ową ruchliwość i rzutkość średniowiecznych Normanów, którzy wypełnieni jakąś potrzebą wrażeń, czynów, płynęli na swoich prostych, drewnianych statkach po ogromnych przestrzeniach morskich, by, idąc wciąż przed siebie szukać, zdobywać, łamać się, wcielać w życie i dzieje ówczesnych społeczeństw.

Szukamy jej wpływu i w czynach dzisiejszych podróżników norweskich, ludzi wypełnionych niepokonaną żądzą nowych odkryć, zapuszczających się na długie lata w niezbadane, tajemnicze, białe pustynie biegunowe.

I ją także mamy na myśli, śledząc za pracami duchowemi Ibsena, Wiegellanda czy Muncha, ludzi, których oczy zapuszczają się głęboko w otchłanne niezbadane przepaście ducha ludzkiego i wydobywają stamtąd tragiczne zagadki i szukają tam prawd jakichś, przewodników jakichś i dręczą się, dławią, i każą innym czuć i iść za sobą i grążyć się w owe splątane wiry i niezmierzone głębie.

W tym ubogim, mało zaludnionym kraju zachodzą zjawiska, toczą się sprawy, które interesują, intrygują, podniecają ludzi żyjących daleko od podobnej szerokości geograficznej i daleko również, od podobnych światów duchowych.

Literatura, sztuka, a nawet i polityka norweska, świadczą o pewnej odrębności, o jakimś innym wymiarze sił duchowych, których tamby szukać należało.

Wśród wysokich gór i cichych fjordów mieszkają ludzie — oddaleni od reszty świata i może trochę różni od reszty świata, stąd naturalnie, byłe i niebyłe w nich rozświetla się aureolą pewnej fantazji i legendarności. Norwegowie sami z pewnem zaciekawieniem badają naturę własną, pragną zdać sobie sprawę z dodatnich i ujemnych stron charakterów swoich i upodobań.

Gdy jedni do badań swych przykładają wielką miarę, i w uczonych książkach i rozprawach wyświetlają sobie i innym istotę ducha narodu dalekiej północy, inni, w życiu codziennem, w wypadkach drobnych — widzą ilustrację do sądów o własnej naturze.

— Jesteśmy indywidualiści, nadewszystko cenimy wolę naszą i osobistość naszą — powiadają o sobie, a Peer Gynt, ukochany bohater narodowy,

Również i wewnątrz, posiada dom Anczowskiego wiele rzeźby. Do dekoracji rzeźbionej użyto tu winogradu w nałęczach bogato modelowanych rozet. Najpiękniejsze i najszlachetniej pomyślane są wewnętrzne odrzwia na dole w dawnej kaplicy domowej Anczowskiego, ozdobione sopraportą, wyobrażającą w płaskorzeźbie Ukrzyżowanie Chrystusa. Okna głównej komnaty na pierwszem piątrze silnie zagłębione, ujęte są w potężne półkolumny i całe okryte rzeźbą, bardziej może kościelnego niż świeckiego charakteru, a główne ich motywa ornamentacyjne, grona winne, ptaszki i skrzydlate główki, powtarzają się także w odrzwiach w tej samej komnacie, z dodatkiem ulubionych dawnymi czasy we Lwowie, głów delfina.



Wały hetmańskie w obecnym stanie.

O PTAKI...

O ptaki, wędrowniki mocne, cichą bezksiężycową nocą na wyraj w dal lecące...
O ptaki, z zapadłych jezior, skrytych, zarosłych puszystą rzęsą mokradeł...
O ptaki możne, którym dano żyć w słońcu i uchodzić przed dżdżem jesieni...
O ptaki, co zwartym, ostrym trójkątem przerzynacie konającą łunę latarń miejskich...
O ptaki niedobre, co krzyk życia i wolności rzucacie niebacznie w otwarte okna ciasnych pomieszkań...
O ptaki, co na marginesach mądrych ksiąg każecie notować takie dziecięce, proste a smutne słowa...
O ptaki, co w noc pokoju rzucacie zarzewia buntu w wystygłe, zda się, piersi...
O ptaki szaropióre, skąd w krzyku waszym tyle płomienia i mocy czynu?
O ptaki, lot pewny mające, nie mówcie już o zbłąkańcach...
O ptaki, w słońce ciągnące, nie wołajcie na długi a ciężki lot...
O ptaki — ażali nie wiecie, że odzew z piersi zduszonych szarzyzną dni — nie przyjdzie...
O ptaki — ażali nie wiecie, że mało kto słyszy wasze wołanie, a nikt go nie rozumie...
O ptaki — ażali nie wiecie, że do skrzydeł waszych nie uczepi się niczyja myśl — posłaniec...
O ptaki — ażali wy znacie drogę na wyspy Ciszy — na wyraj dusz?
O ptaki — nie znacie jej — jako i nikt na ziemi...
O ptaki niedobre — cicho odlećcie w dal słoneczną...
O ptaki szerokoskrzydłe, nie kierujcie lotu ponad dymniki wielkich miast — ponad martwotę tych, co tu zostać muszą...
O ptaki, ptaki przodowniki w pysze mocnych skrzydeł lecące — żegnajcie.

14/10 1907.

Barbara Siłowska.

w ciągu całego życia, wydobywa ze siebie pierwiastki, które się mają złożyć na budowę jego odrębnej, wydzielonej z innych istnień bratnich — natury.

— Indywidualność nasza, powiadają niektórzy z pewnym odcieniem ironji — polega i na tem, że nie posiadamy w miastach naszych równych ulic, bo każdy wedle osobistych upodobań ustawia front własnego domu, a dom ten kształtem, materjałem budowlanym, ozdobami, barwą różni się od domu sąsiada: indywidualność nasza polega i na tem, że w wielu sprawach ogólnych nie umiemy się łączyć, i na tem także, że nas dziesiątki tysięcy emigruje rocznie do Ameryki, uszczuplając nieliczną ludność ziemi naszej. Nie lubimy pracować, nie korzystamy z naturalnych bogactw Ojczyzny, gonimy za łatwym zyskiem, jesteśmy często zbyt hojni w imię zanadto górnych haseł, a kraj nasz jest bardzo biedny i tłoczą go długi, zaciągnięte u bogatszych sąsiadów: Anglji, Francji, Niemiec.

Mimo jednak tego surowego autokrytycyzmu — widzi się jasno, że Norwegowie dzisiejsi, we wszystkich dziedzinach życia podążają równolegle z innymi przodującymi narodami Europy, co zaś do współżycia we własnem społeczeństwie, potrafią się porozumiewać i łączyć w imię wspólnych, zasadniczych, istotnie ważnych interesów. Zdumiewającą jest na przykład, jednomyślność sądów, w sprawie zerwania unji ze Szwecją. Każdy odpowiada z zapałem, że należałoby raczej wszystko poświęcić, aniżeli zerwania zaniechać, samodzielność bowiem swoją uważają Norwegowie za zasadniczy warunek dalszego rozwoju. Dziś jeszcze słyszeć się dają echa dawnego rozdrażnienia przeciwko rządom szwedzkim. Jako jedną z przyczyn niezgody, panującej pomiędzy dwoma sąsiednimi, a tak bliskimi narodami — podają Norwegowie wielką różnicę, zachodzącą w przekonaniach. Norwegowie są nawskróś przejęci duchem demokratycznym. Opowiadają chętnie, że przed laty już kilku pochowali ostatniego barona. Mały ten naród chłopski wziął rozbrat ze średniowiecznymi przywilejami rodowymi, gdy natomiast w Szwecji utrzymują się stare, silnie zagnieżdżone tradycje szlacheckie.

W ciągu całego XIX. stulecia Norwegja dążyła do osiągnięcia pewnego, demokratycznego poziomu. Już konstytucja z 1814 r. uchwaliła parlament jednoizbowy, w r. 1815 sejm zniósł tytuły rodowe i wogóle, w miarę możności Norwegja wcielała w życie swoje pojęcia nowe, odpowiadające prostemu, pełnemu poczucia sprawiedliwości duchowi jej mieszkańców.

Od lat już kilku kobiety biorą czynny udział w życiu gminnem Norwegji, nie krępowane są one zastrzeżeniami w pełnieniu obowiązków urzędniczek, nauczycielek, w wykonywaniu wolnych zawodów. W roku bieżącym, 14. czerwca, uzyskały one prawo wstępu do parlamentu. Zaledwie 25 posłów — przeciwko 96 odpowiedziało przecząco na podanie kobiet o dopuszczenie ich do współurzędów. Kobiety skandynawskie uzyskały już wiele należnych im praw w dziedzinie życia prywatnego i publicznego. Wykształcenie ich, które dzięki istniejącej koedukacji, nie różni się od męskiego, otwiera im wszędzie pole do pracy. Niezależność kobiet w Skandynawji jest większa, niż w pozostałych krajach Europy, wielu poważnych autorów i myślicieli — roztrząsało niejednokrotnie zagadnienia, tyczące się prawodawstwa, obyczajów oraz przesądów, których ofiarą padały dotychczas kobiety, a Ibsen i Björnson, torowali drogę nowym prądom, wyzwalającym kobietę.

To też typ kobiety skandynawskiej różni się zasadniczo od Francuski lub Niemki. Obok wykształcenia posiada ona silnie rozwinięte poczucie samodzielności i odpowiedzialności za czyny własne. Głos jej niejednokrotnie zaważył już w sprawach ogólnych. W krytycznej chwili zrywania unji, łączącej Norwegję ze Szwecją, obywatelki norweskie, odegrały bardzo czynną rolę. W entuzjastycznych mowach, zgromadzeniach, manifestacjach — zachęcały współobywateli do wytrwania w oporze, do zdobycia samodzielności politycznej.

— Obecną swoją sytuacją polityczną chlubią się Norwegowie: rządzimy się sami, sami stanowimy o sobie powtarzają z dumą.

Król ich Hakon VII, wybrany jednomyślnie przez naród cały, jest jedynie biernym przedstawicielem swoich poddanych, a że jest on niejako symbolem wolności ludu norweskiego, stąd płynie popularność i sympatja, którą darzą jego osobę i całą jego rodzinę. Zdawałoby się, że raczej republikańska, niż monarchiczna forma rządu, przypaść winna do serca demokratycznym Norwegom. I rzeczywiście, większość ich z radością formę by tę przyjęła. Zgodzono się jednak ogólnie na monarchją z pewnych oportunistycznych przyczyn. Nie chciano wprowadzać rzeczypospolitej do małego kraju, otoczonego zewsząd potężnemi monarchjami; liczono dalej, że królewicz duński ożeniony z księżniczką angielską i spokrewniony z wielu dworami europejskimi, ułatwi małemu krajowi nawiązanie międzypaństwowych stosunków; wreszcie, musiano wziąć pod rozwagę i silnie zakorzenioną w Norwegji — monarchiczną formę rządu.

Obecny król Hakon VII, pierwszy „obywatel“ narodu, mieszka w skromnym, renesansowym pałacu w Chrystjanji, wzniesionym jeszcze dla Bernadotte'a, gdy jako król Jan Karol, przyjeżdżał ze Szwecji. Siedziba królewska wznosi się pośród parku, a raczej ogromnego skweru, dostępnego zawsze dla publiczności. Z okien mieszkania swego może król oglądać dzieci swoich poddanych, wożone w wózkach po alejach parku, licznych przechodniów, spieszących ze wszystkich stron do miasta, a nawet wozy ciężarowe, których droga przechodzi w pobliżu pałacu.

Stosunek monarchy do narodu jest serdeczny i pełen prostoty.

Szczególnem umiłowaniem darzą Norwegowie małego, czteroletniego następcę tronu. Niezliczone ilustracje i kartki korespondencyjne przedstawiają małe książątko wpośród różnych okoliczności dziecinnego żywota. Można na nich podziwiać Olafa, bawiącego się piaskiem, jadącego na spacer, uwie-

czniono go nawet na pocztówce w chwili, gdy upadłszy na śniegu zabiera się do płaczu.

W Norwegji, jak zresztą i gdzieindziej w chwilach obecnych, zwrócona jest baczna uwaga na wydobycie z ogólnej kultury rdzennych, narodowych pierwiastków, na podkreślenie istoty „ducha“ narodowego, wykazanie jego wagi i odrębności. Wszystko co dotyczy przeszłości: zabytki, literatura, rękodzieła pielęgnowane są troskliwie. Muzea w Chrystjanji i Bergen pełne są pamiątek historycznych, a niektóre z nich, jak okręty, służące za grobowce Wikingom, a niedawno odkryte i sprowadzone do Chrystjanji, oraz muzeum hanzeatyckie w Bergen, służące jako doskonała ilustracja do życia mieszczańskiego — mają pierwszorzędne znaczenie w archeologji historycznej.

Z wielkiem zamiłowaniem i znajomością gromadzone są również przedmioty, odnoszące się do studjów etnograficznych.

Strój narodowy, góralski wielu Norweżkom służy jako ubranie świąteczne, w niektórych zaś okolicach np. Telemaoken używany jest na codzień.

Licznie są reprezentowane wszędzie przedmioty domowego wyrobu, t. zw. slöjdu. Do nich należą wyroby drewniane malowane i rzeźbione; skrzynie, półki, kubki, łyżki, koszyczki itd. itd., oraz tkaniny, nie różniące się wiele od naszych kilimów.

Ornamentacja malowana drzewa przypomina w grubych zarysach nasze wzory, szczególnie zaś skrzynie błękitne i zielone, na których malowane są wianki ze stylizowanych kwiatów polnych.

Przemysł w Norwegji jest słabo rozwinięty. Głównymi przedmiotami handlu są: ryby i drzewo budulcowe, pochodzące z ogromnych lasów, rozpościerających się na wschodnich stokach Alp skandynawskich, a wywożone głównie do zachodnich i południowych portów europejskich.

Na rynkach norweskich zapanował głównie tandetny a tani przemysł niemiecki. „Made in Germany“ spotyka się na wielkiej liczbie towarów przywożonych do Norwegji. Zboże, pszenicę przywożą z Rosji: Rygi lub Odessy. Owoców, towarów kolonialnych, dostarcza Ameryka, która ma częste z Norwegją stosunki. Wpływ Anglji, powiadają, jest znaczny. Szwedzi z pewnym przekąsem wyrażają się o tym wpływie i jemu przypisują w wielkiej mierze całą historję zerwania unji.

Zaznaczyć należy, że w obecnej chwili wypracowywania samodzielności narodowej w Norwegji czynione są liczne starania, by z dawnego norweskiego narzecza wytworzyć język literacki. Język bowiem dzisiejszy literacki — to właściwie język duński.

Sagi skandynawskie składane były w owym dawnym, dziś już zapomnianym języku, którego właściwą ojczyzną jest Islandja.

Niektórzy autorowie, a między innymi Ibsen, posługiwali się zwrotami staronorweskimi, co pódobno utworom Ibsena nadaje szczególną plastykę. Pośród niektórych młodych pisarzy powstała myśl przywrócenia w literaturze zarzuconego i zapomnianego języka, co wedle innych jest dalekiem, niedającem się urzeczywistnić marzeniem.

Marcelina Kulikowska.

Kładł się złoty promień słońca...

(Ze zbiorku „Najmłodsza Polska w pieśni.“)

Kładł się złoty promień słońca
Na zielone łany;
Pieścił, tulił i całował
Bez końca, bez końca...
One szmerem mu mówiły:
Kochany, kochany!

Kładł się złoty promień słońca
Na świerki, na sosny;
Pieścił, tulił i całował
Bez końca, bez końca...
Bór mu spiewał tęskne dumki —
Szczęśliw i radosny!

Kładł się złoty promień słońca
Na lilie, na róże:
Pieścił, tulił i całował
Bez końca, bez końca...
One woń swą posyłały
Ku słońcu, ku górze!

Kładł się złoty promień słońca
Na główkę dziewczyny;
Pieścił, tulił i całował
Bez końca, bez końca...
A do słońca pieśń leciała
Jedyny, jedyny!

Liliana.

spółki spożywczej. Obecnie zależeć będzie od liczby zapisujących się członków i od ich udziałów. W pierwszym rzędzie założy się skład towarów kolonjalnych. Dyrekcja w odezwie wystosowanej do urzędników przewiduje nadzwyczajne trudności, jakie kupcy robić będą, ale energja i solidarność przezwycięży wszelkie trudności.

Przyklasnąć należy uchwale na ostatniem posiedzeniu rady szkolnej okręgowej co do utworzenia drugiej trzyklasowej szkoły żeńskiej wydziałowej i 4-klasowej szkoły ludowej męskiej, które to szkoły już od bardzo dawna przepełnione są dziećmi.

Z ruchu nauczycielskiego.

(Od naszego korespondenta).

Z Buczacza piszą nam: Dnia 3. października odbyła się w Buczaczu konferencja okręgowa, w której udział wzięło nauczycielstwo całego powiatu w liczbie 238 osób. Przedmiotem obrad konferencji były, jak wszędzie, kwestja nowych kierunków w nauce rysunków w szkołach ludowych, oraz wybór delegata do Rady szkolnej okręgowej. Sprawę nauki rysunków referowali dwaj nauczyciele szkoły wydziałowej, ponadto odbyły się trzy lekcje praktyczne nauki rysunków według nowych kierunków. W dyskusji nad referatami zabierali głos liczni nauczyciele i nauczycielki, a wszyscy mowcy wyrazili żal, że Rada szkolna krajowa nie dała nauczycielstwu sposobności zaznajomienia się z nowymi kierunkami rysunków przez urządzenie odpowiednich kursów.

Cała konferencja wyglądała jak wielki jarmark, gdyż 238 osób wpakowano do sali szkolnej, mającej 48 m^2 powierzchni, przyczem nie zapomniano dobrze zapalić w piecu, była więc łaźnia w całem tego słowa znaczeniu i wskutek tego znaczna liczba uczestników nie mogła brać udziału na obradach, uprzyjemniała więc sobie ten czas na kurytarzu szkoły, jak mogła.

Rezolucji w sprawie dwutypowości seminarjów i szkół ludowych, zniesienia IV-tej klasy płac, żaden z nauczycieli nie odważył się postawić.

Marcelina Kulikowska.

Na nieme wiece w zaborze pruskim.

Nie będzie słów, nie będzie słów,
To serca się otworzą!
Zakwitną serca kwiatem mów,
Zakwitną mocą Bożą!

. . . .
. . . .

Nie sypać nam popiołów
Na schylone czoła,
A słuchać Wieców niemych
I głosu, co zawoła!

Nie sypać w serca nasze
Nicości, ani trwogi,
Idziemy — przed się niemi
Idziemy w własne drogi!

Idziemy w własne drogi,
Przed siebie, hej! we światy!
A w duszach — to dźwigamy
Ofiary i objaty!

Złożymy na ołtarze
Cierpienia nasze, męki,
Aż stos się nam rozpali,
Z płomieniów wyjdą jęki...

A my milczymy — Niemi,
Czynami im mówimy,
Dziś usta nam zamknęli,
A w Jutro — My wierzymy...

Wierzymy w nasze Moce!
Wierzymy w nasze siły,
Nie legać nam, Milczącym,
Do grobów, do mogiły!

Nie legać nam, Czyniącym,
Na niebie słońce świeci.
Duch niemy przed się bieży,
Przemówią nasze dzieci.

Kraków 28. Października 1908.

szą. Ale trudno staruszkę skazywać na tułaczkę, może więc mąż odwiezie Gigę lub Tadzio.

— Nie, pozwolisz, że to już ja ją odwiozę, rzekł podrażniony, czując się nieraz skrzywdzony, że pozbawiają go widoku jedynej córki, którą bardzo kochał.

— Pozwolisz? — oburzyła się. — Przecież nigdy nie ośmielam ci się sprzeciwiać w czemkolwiek. Jesteś panem domu i swojej woli.

I Giga wyjechała. A pani Stefa mogła nadal rozkoszować się życiem, które urządziła sobie z jedną myślą o swojej własnej ekscelencji, a które, jak każde życie egoisty, było nędzą nad nędzami.

Aż litość brała patrzeć na tę wegetację, która nie dawała jej zadowolenia na jedną sekundę, a na myśl o najmniejszej zmianie drżała z tchórzostwa każdego egoisty. Wszystkie kłopoty i zajęcia od siebie odsunęła. Gospodarstwo spoczywało wyłącznie na głowie ciotki Florki, a mężowi nie wolno było wspomnieć nawet przy niej o planach, kłopotach i zawodach z fabryką. Tadzik zajęty był lekcjami i kolegami. Pani Stefie pozostawały więc jedynie grymasy: Kłopoty z niewykończoną na czas suknią, utarczki z tapicerem, który nie miał za grosz gustu, kłótnie z kucharzem, który przygotował proszony obiad nie tak, jakby ona sobie tego życzyła. Wiecznie winnymi byli naturalnie mąż, ciotka, służba, magazynierka. Wszyscy ją krzywdzili; ona była niewinną ofiarą choć w gruncie nie miała nigdy słuszności, ponieważ nie znała się ani na gospodarstwie, ani na wychowaniu dzieci ani nawet na strojach.

Nie lubiąc ani sztuki, ani literatury, nie gustując ani w gospodarstwie, ani w wychowaniu dzieci, nie zapalając się ani do spraw społecznych, ani do filantropji, pędziła swoją wegetację z wiecznemi lilipuciemi troskami i karlimi bolami śród tej strasznej codziennej rudy, w jaką pogrąża obecne życie większą część kobiet bogatej burżuazji całego świata. I jednostki, jak najlepiej od natury uposażone, przemieniają się w istoty nikomu nigdy nieużyteczne i nieszczęśliwe.

W domu z mężem i dziećmi była wiecznie w złym humorze. Dopiero na wyścigach, w teatrze, na koncercie, odzyskiwała czasami humor.

Nie zależało to od sensacyjności wyścigów, na których nie znała się, ani od dobroci teatru, który jej nie obchodził, lecz o ile miejsce było dobre. Mąż znał jej ideały pod tym względem. Należało brać fotele blisko przejścia z dostępem łatwym.

Nie chodziło jej bowiem o przedstawienie, lecz jedynie o antrakty.

Wystarczało, aby podszedł do niej lada młokos, nieznaczący adwokacik lub najprzeciętniejszy średnioprzystojny urzędniczek, odrazu promieniała cała. Zły mars znikał jej z czoła; stawała się wesoła, dowcipna, uprzejma nawet dla męża.

(C. d. n.)

KRONIKA.

Szlendrjan w Radzie szkolnej krajowej. Piszą nam ze sfer nauczycielskich: Zeszłego roku urządziła R. S. Kr. kurs wydziałowy z I. grupy dla nauczycielek w Krakowie z terminem wnoszenia podań do 15. września 1907 r. Tymczasem „Dziennik urzędowy“, w którym ten kurs został ogłoszony, doszedł do rąk nauczycieli 16. września, tj. po terminie. Wyglądało to tak, że R. szkolna kraj. ogłasza pozornie konkurs, a ogłasza go umyślnie zapóźno, aby uniemożliwić nauczycielstwu wnoszenie podań i wybrać sobie poza konkursem, kogo jej się podoba.

Ta sama historja stała się i tego roku.

Ogłoszono konkurs na kurs wydziałowy w Krakowie z terminem wnoszenia podań do 15. października br. Dziennik urzędowy doszedł do nauczycielstwa dopiero 15. października tj. po niewczasie. Niewytłumaczonym sposobem dzienniki krajowe dowiedziały się o konkursie i umieściły ogłoszenie, gdyby nie to — znów znaczna część nauczycielstwa byłaby straciła możność starania się o przyjęcie na kurs.

Dzień 4. października br. jako imienin cesarza przypadał na niedzielę, wskutek czego ministerjum uwolniło uczniów od nauki dnia 5. października br. I znów R. S. K., zamiast ogłosić o tem rozporządzeniu, zachowała najgłębsze milczenie i dotychczas wcale w tej sprawie nie wydała żadnego zarządzenia i znów gdyby nie dzienniki, nauczycielstwo nie byłoby wiedziało, że ten dzień ma być wolnym od nauki.

I to nie pierwszy wypadek — bo już kilkakrotnie ministerjum wydawało rozporządzenie co do dnia jakiegoś przed świętami lub po świętach — a zawsze to rozporządzenie przychodziło po niewczasie — tak, że z niego korzyści już nie było — albo też kierownicy szkół, ryzykując osobiście — na podstawie notatek dziennikarskich zastosowywali się do ministerjalnego zarządzenia.

Czy nie byłoby wskazanem, aby R. szk. Kr. postarała się, by „Dziennik urzędowy“ przychodził w należytej porze — tj. nie dopiero o tydzień lub później od daty wydrukowania — a już najwyższy czas, żeby R. S. Kr. zarządziła, aby podobne ogłoszenia o konkursach i rozporządzenia co do dni wolnych ogłaszało się w należytej porze tak, aby nauczycielstwo z tego powodu nie potrzebowało się skarżyć i ponosić straty.

W razie sprawy niecierpiącej zwłoki nic to nie przeszkadza R. S. Kr. ogłosić przecież urzędowy komunikat w jakiejś sprawie w dziennikach krajowych, który łatwiej i prędzej dojdzie do wiadomości interesowanych, niżeli „Dziennik urzędowy“, który nim się wydostanie z ekspedytu — przychodzi z wiadomościami już spóźnionemi i nie mającemi już wartości.

Przypuszczać należy, iż R. S. K. nie da powodu w przyszłości do ciągłych narzekań z tego powodu — chyba, że się chce narazić na zarzut nietylko nierozumnego biurokratyzmu, ale i na podejrzenie złej woli.

We Lwowie.

— **Komitet równouprawnienia kobiet** zawiadamia, że w każdą pierwszą środę po 1-szym i po 15-tym w lokalu asekuracji Krakowskiej ul. 3. Maja o godzinie 6-tej wieczorem odbywają się zebrania członków. Udziela się wszelkich informacji i przyjmuje się wpisy członków. Goście mile widziani.

— **Konkurs na wzór ubiorów.** Magistrat m. Lwowa ogłasza konkurs na wzór ubiorów dla miejskiej straży akcyzowej. Stroje te powinny mieć typ swojski i charakter polski, jednak z przystosowaniem do stosunków obecnych. Projekty konkursowe nadsyłać należy w terminie do 31. grudnia. Ustanowione są trzy nagrody konkursowe po sto koron. Projekty nagrodzone pozostaną własnością miasta.

Przyjęcie i nagrodzenie nadesłanych prac zależy od Rady miejskiej.

— **Narodowa organizacja** VI. okr. m. Lwowa urządza swoje doroczne Ogólne Zgromadzenie członków we czwartek dnia 5. bm. o godzinie 6. wieczorem w sali „Skały.“ Na porządku dziennym referat posła dra Buzka o sytuacji politycznej.

— **Odwołanie prelekcji.** Zapowiedziana prelekcja p. Jana Pietrzyckiego o szczątkach dramatycznych Słowackiego i nieznanych szczegółach, dotyczących poety, nie odbędzie się z powodu choroby prelegenta.

— **W Kole muzycznem** (ul. Jagiellońska 7.) odbędzie się w piątek 6. bm. o g. 8 wieczór przygotowawczy do koncertu kwartetu brukselskiego z ilustracją muzyczną. Członkowie mają wstęp wolny, goście płacą 60 gr.

— **Płonica we Lwowie.** „Koresp. ratusz.“ donosi: „Wobec faktu, że stan płonicy stale maleje, a cyfra przyrostu chorych z ostatnich dwóch tygodni równa się tej, jaką notowano w drugiej połowie maja i pierwszej czerwca br., tj. w czasie, gdy rozmiary epidemji były minimalne (tygodniowo 20—30 chorych), prezydjum miasta uważa za wskazane zaniechać dalszego codziennego ogłaszania statystyki szczegółowej.

W dniu 2. bm. zgłoszono 8 nowych chorych, a to z ul. Leona Sapiehy, Lenartowicza i Gródeckiej, ze Słonecznej, z Arsenalskiej, oraz dwa obce ze Zboisk. Wyzdrowiało również 8 chorych. Nie umarł nikt. W październiku ogółem zgłoszono nowych chorych 153, umarło 21. (We wrześniu przyrost chorych wynosił 297 osób, umarło 32 osób). Fizykat m. sporządził nowy wykaz domów, w których znajdują się chorzy na płonicę. Wykaz ten — wedle stanu z dnia 3. listopada — obejmuje 81 domów, a to: w I. okręgu sanitarnym 16, w II. 3, w III. 6, w IV. 2, w V. 20, w IV. 25, a w VII. 9 domów. Poprzedni wykaz, sporządzony wedle stanu z 21. września, obejmował ogółem 119 domów.

— **Choroby zakaźne w powiecie lwowskim.** Urzędownie stwierdzono w powiecie lwowskim: odrę w gminach: Zimnawoda, Zniesienie, Werbiż i Chrusno stare (3 przypadki); tyfus plamisty w Jaryczowie nowym (2 przypadki); ospę wietrzną: w Nikonkowicach (6 przypadków); mumps: w Pustomytach.

Ze względu na powyższe udzielające się choroby, fizykat miejski ostrzega publiczność przed stykaniem się z mieszkańcami wymienionych gmin, a zwłaszcza przed nabywaniem od nim artykułów spożywczych, gdyż ono może pośredniczyć w zakażeniu się panującemi tam chorobami.

— **Kinoteatr „Uranja“ w Filharmonji.** Przedstawienia kinematograficzne odbywają się tylko w soboty o ½8 wieczorem oraz w niedziele i święta (dwa) o 4-ej popołudniu i ½8 wieczorem; w poniedziałki przedstawienie popularne z prelekcją po zniżonych cenach o g. 4. pop. Co tygodnia nowy program. Bilety są do nabycia codziennie w kasie Filharmonji od 9 do 12 w południe i od 3—6 wieczorem.

— **„Tinglarstwo“ we Lwowie.** Lwowska dyrekcja policji protegnje widocznie „tinglarstwo“ we Lwowie. Powstaje coraz więcej takich przybytków w naszem mieście, jak o tem dowiadujemy się z jaskrawych plakatów. Są to nory zepsucia, w których grasują rozmaite ptaki niebieskie — które następnie spotyka się często na ławie oskarżonych w sądzie karnym. Na wszystkie te nory udziela policja z wielką pobłażliwością koncesji. Oprócz tego w rozmaitych restauracjach, szynkach, kawiarniach i innych norach urządzono w ostatnich czasach kabarety, orfea, olimpie i inne podobne przedsiębiorstwa, obliczone na wyzysk wszelkiego rodzaju.

Byłby już czas najwyższy, aby położono kres temu rozpasaniu. Nawiasowo wspomnieć i o tem należy, że w norach tych grasuje przeważnie niemczyzna.

W Krakowie policja postępuje całkiem inaczej, tam udzielono koncesji tylko na jedną norę tinglową. Zawiązana u nas „liga obyczajności publicznej“ powinna także zainteresować się tą sprawą. Nasza cenzura, która w sprawach teatralnych bardzo często przypomina tradycje z przed r. 1848 — zupełnie nie interesuje się programem tych nor, na które niestety uczęszcza też młodzież, zatruwająca się temi produkcjami.

Z jednej strony bezwzględność i chińszczyzna, z drugiej tolerowanie największych wybryków

Sprawą tą zająć się też powinna Rada miejska, której przecież zależeć powinno na tem, ażeby Lwów pod tym specjalnie względem nie prześcigał innych stolic...

— **Zgon samobójców.** W szpitalu powszechnym zmarł Maciej Śliwiński, liczący 74 lat, emeryt, oficjalista prywatny, który w niedzielę w mieszkaniu swojem przy ul. Kurkowej strzelił sobie w skroń. Do samobójczego kroku popchnęło go zniechęcenie do życia.

Zakończył też życie w szpitalu Edward Fabjan, aptekarz z Warszawy, który wczoraj rano otruł się morfiną.

Refleksje z powodu obchodu Grunwaldzkiego.

Zajmują się u nas sprawą obchodów Grunwaldzkich. Piszą o tem, mówią, wydają broszury. Wypowiadają się stronnictwa i ludzie. Sprawa rozgrzała i rozciekawiła. Stąd wniosek, że sprawa ta głęboka i głęboką myśl budzi.

Jeżeli z tego tylko punktu widzenia patrzeć na nią — to już daje ona wiele. Odrywa od powszedności, od szarzyzny dnia i pokazuje dnie inne, wydobywa z ludzkich myśli i z serc ludzkich iskry, które ogniem własnym świecą, odwraca oczy od tych niedawnych, śmiertelnych smutków, a tym którzy się smucić nie umieli, przed wzrok stawia chwilę wielką, która bodaj małe serca i poziome duszyczki — wypełnić zdoła wzniosłem, pięknem uczuciem szlachetnej duszy. Obchód grunwaldzki — w istocie wypaść może mniej lub więcej wspaniale, posługuje się całym mniej więcej znanym i ogólnie przyjętym do podobnego rodzaju uroczystości aparatem — może nawet wydać się szopką, zewnętrznością, nie mającą głębi filozoficznej, ani artystycznego polotu. Obchód grunwaldzki sprowadzić może na usta niejednego nawet przelotny, szyderczy uśmieszek. My w Polsce z siebie szydzić lubimy... My w Polsce na wiele rzeczy prosto patrzeć nie umiemy... Jesteśmy przeanalizowani, przekrytykowani, przekwaszeni... Często przychodzi to stąd, że jesteśmy bardzo biedni i bardzo cierpiący... Więc nie tylko obchód podobny wywoła sarkastyczny na usta uśmieszek. Wszak są tacy, dla których mundur wojska narodowego starców z 1863 r. szopką się wydaje... Są tacy, dla których uwielbienie dla takiego lub innego mocarza ducha — również wydaje się szopką. Wierzę, że głąb tych wszystkich sądów z bólu i goryczy czerpie swój wątek. Bo mamy nad czem boleć i mamy skąd goryczy nabierać... I przyćmiewamy wzrok nasz i nie umiemy bodaj na te liczne promienie jasne patrzeć. Promieniami jasnymi są nam dnie przeszłe, promieniami jasnymi są nam własne siły, o ile je wyczuć zdołamy. Siły uśpione leżą wszędzie — m a r t w i ci, co pod ziemią, ż y w i i m o c n i ci co tu, na górze...

Ale trzeba w te siły wierzyć... ale trzeba moc własną znać... ale trzeba czynić wszystko, iżby ziarna snem zimowym śpiącym pobudzić. Do czynów — nie do próżnych tylko słów i bezpłodnych głosów należą akty takie, jak obchody wielkich rocznic. Są to czyny natury pedagogicznej. Są to lekcje poglądowe, są to pouczania na okazach oparte, są to uderzenia w serce młotem szczerozłotym, ukutym z prawdy dziejowej. Pokazuje się, jak było. I oto tem krzepi się, wzmacnia i rozwesela ducha. Przejdą, przeminą drobne, codzienne sprawy otaczające każdy czyn wielki, każdego wielkiego człowieka, każde zjawisko historyczne. Przejdą, przeminą — aż je kiedyś może w innem lub wielce prawdopodobnem świetle wydobędzie szperacz historyk czy archeolog. Ale wielka poezja wspaniałego gestu, ale podniecający ogień wznoszącego się ku lotom ducha, ale rozmarzająca jasna pamięć o wielkiej chwili pozostaje, i ona to działa jako skrzydło wichru, który porusza ziarna w pustyniach drzemiące i tworzy fale na martwych, śpiących wodach.

Uderzajmy w serca nasze i serca te budźmy. Obchód grunwaldzki jest szczerozłotym młotem z prawdy dziejowej wykutym.

Marcelina Kulikowska.

Wydanie popołudniowe.

WSKI

nnie.

Chorążczyzny l. 31.

pociągnie za sobą takie niemiłe skutki. Chciano tę sprawę załatwić po cichu, ale sam Roosevelt podał ją do wiadomości publicznej.

W kołach watykańskich panuje z tej afery wielkie niezadowolenie. Nadrabia miną tylko kardynał Merry de Val, sprawca całej afery, który miał po opublikowaniu całego tego nieporozumienia oświadczyć wobec sekretarza Roosevelta O'Laughin: „Prawdę powiedziawszy, należy się dziwić, że człowiek, który chce być przyjętym przez tak wysoką osobistość, jak papież, zamyśla uczynić coś, coby papieża do żywego ubodło".

W prasie europejskiej bardzo żywo komentowany jest niezmiernie ostry ton, w jakim Roosevelt odpowiedział papieżowi, rezygnując z audjencji. Komentują to w ten sposób, że Roosevelt nie chciał się przeciwstawić swemu koledze Fairbanksowi oraz protestantom amerykańskim.

Jakkolwiek Roosevelt w wynurzeniach swoich jest bardzo ostrożny i napastującym go dziennikarzom całego świata słowa nie chce powiedzieć o polityce, skrytykował on postępowanie papieża wobec dziennikarzy następującemi słowy: „Ludzie bez względu na religję, do której należą winni się odnosić do siebie z czcią i tolerancją. Ja obcowałem z rabinami i pastorami, monoteistami i czcicielami ognia w sposób najserdeczniejszy i mniemałem, że w starej Europie tak samo można!"

Z tych słów przebija duże rozgoryczenie do Watykanu, które się z pewnością udzieli całej Ameryce, a ta bez względu na wyznanie nie żyje z papieżem w najlepszych stosunkach. Tych stosunków z pewnością nie polepszy przyjęcie Roosevelta w Rzymie przez oficjalne koła katolickie.

Kardynał Merry de Val dużo już fatalnych kroków popełnił w polityce kościelnej — ale ten ostatni jest bodaj czy nie najfatalniejszy.

Zobaczymy zresztą, co z tej całej afery jeszcze wyrośnie!

— Panie, tu „republika", tu nic nie wolno!

— A pan skąd?

— Ja... z Odessy!

— Z Odessy? Więc pan Rosjanin? — spytał Różycki po rosyjsku.

Nędzarz kiwnął głową.

— Psst! Już idzie! — ostrzegł przyciszonym głosem.

Zjawił się biało-nagi kuchcik, chwycił centimy wraz z imbrykiem, znikł w sąsiednich drzwiach, skąd następnie z wesołą francuską energją wyrzucił

7

Narodu mego nieskończony ból...

Narodu mego nieskończony ból
Na dusze kładzie tragiczne kolory
J wszystkie żywe przyzywa upiory,
Krwawe wspomnienia budzi z martwych pól.

Więc wszystko obce gdzieś odbiega w dal...
Duch się podnosi ku męki wyżynie
A co niegodne — zanika i ginie...
Łzami czystymi płacze krwawy żal...

Marcelina Kulikowska.

„Kurjer Lwowski"
Illustrowany dodatek świąteczny.

kupców bogatych wiodła nieraz dłu-gie i zacięte spory o równouprawnienie w wykonywaniu handlu.

Trzecią, zupełnie już podrzędną kategorję w stanie handlowym tworzyli przekupnie lub kramarze, którzy towary swe sprzedawali w wyznaczonych im miejscach, na ławach i ruchomych kramach.

Spory i walki konkurencyjne, które toczyły się pomiędzy obu najstarszemi konfraterniami kupców lwowskich, pozostawiły po sobie liczne ślady nawet

swym charakterze różniło się to nowe bractwo znacznie. Nie jest już ono ograniczone do pewnej nielicznej garstki uprzywilejowanych, nie czyni różnicy między bogatszymi a uboższymi kupcami, lecz obejmuje wszystkich kupców-mieszczan. Ten gremialny charakter konfraterni wyraził się dobitnie w takich postanowieniach statutu, jak n. p. że tylko członkowi konfraterni wolno posiadać sklep w mieście i że kupiec może osiągnąć, prawo obywatelstwa miejskiego tylko wówczas, gdy wstąpi do bractwa.

jedną zachęceni, coraz nowe i nowe.

Tak to na weselu Andrzejów pan Maciej poznał się z Marysią.

Ciąg. dal. nast.

Róża M. Judymowa.

„Promyk". Kraków. Luty 1909/1.

ZIMĄ.

Mróz!... Mróz!... zimno!... W buzię szczypie,
Rączki grabi, uszy krasi,
Uciekajcie miłe dziatki
Hej do kuchni, hej do Kasi...

— Mamo, mamo, zostaniemy,
Wicek lepi nam bałwana;
Patrz ty mamo, bałwan stoi.
Pozwól zostać, ukochana...

Taki śmieszny, taki gruby,
Suknia jego z śniegów biała,
Brzuch ogromny, duża głowa,
Nóżek nie ma, rączka mała.

Nosek zrobił mu z patyka,
Oczy jego — dwa węgielki,
Język wisi mu czerwony,
Cudny nasz ten bałwan wielki...

— Mróz... mróz... dzieci, a do domu,
Do ogniska, do komina —
— Mamo, mamo, sanki nasze.
Pozwól zostać nam, jedyna!

Saneczkami — po tej rzece,
Saneczkami — po tym lodzie,
Nam nie zimno, nam nie mroźno,
Jedziem, mkniemy na swobodzie...

Stach za sanki chwycił — leci,
Za nim Frania truchtem bieży,
Patrz mamusiu, co tu śmiechu,
Mały Stefek padł i leży... —

— Dzieci, dzieci, dość zabawy,
Bardzo zimno, a śnieg pada,
— Mamo, mamo nasza miła,
Białym śniegom dusza rada...

Patrz! patrz mamo! lecą puchy,
Białe gwiazdy i motyle,
Hej, też dzieci rade twoje,
Do zabawy cudne chwile...

ły nieczynne, poprzedzane bywają przez trzęsienia ziemi, lecz one ograniczają się tylko do niewielkich przestrzeni i nie są zbyt silne. Inne trzęsienia ziemi powstają wskutek tego, że pokłady różnych skał zapadają się w olbrzymie jamy, wypłukane przez wodę w luźnych i rozpuszczalnych warstwach, ale te wstrząśnienia są słabe i większych katastrof nie wywołują.



WYCIECZKA DO MESSYNY. ZBU

Dla większości z nas będzie to z pewnością wielką nowiną, że ziemia nasza, którą zwykle za tak niewzruszoną uważamy, prawie nieustannie podlega w rozmaitych miejscach wstrząśnieniom, falowaniu lub powolnemu wznoszeniu się i opadaniu.

W ostatnich latach wynaleziono niezmiernie czułe przyrządy, tak zw. seismografy, które notują każde, najdrobniejsze wstrząśnienie skorupy ziemskiej, takie nawet, których my przy pomocy naszych zmysłów nie możemy wcale zauważyć. Tym to przyrządom zawdzięczamy dużo ciekawych spostrzeżeń, wyjaśniających nam

samo
szczęś
łez i r

Po
mamy
Etny, k
wierzc
nóże u
bnych
Wr
pływa.

NA MACIEJÓWCE • JAK SIĘ

CIĄG DALSZY.

Maciej z Marysią poznali się na wiosnę, w maju, wtedy, gdy kukułki kukały po lesie, gdy ptaki wywodziły najgłośniejsze trele. Poznali się, gdy łąki stały w pełni swej krasy, rozkwiecone świeżo rozkwitłym kwieciem, gdy brzęczały chrząszcze majowe i w okół drzew wirowały o zmroku. Pięknym był świat, gdy się Maciej poznał z Marysią.

Było to na weselu Andrzejów. Drużbował im Maciej i Marysia im drużbowała. Ale nie drużbowali z sobą. Marysia była druhną Jankową, a Maciej był drużbą Krzysi.

Marysia ubrała się na ten dzień, jak królewna. Miała na sobie strój krakowski, moc wstążek, wplecionych w długie warkocze i piękny sznur czerwonych korali.

Janek był także po krakowsku ubrany. Miał pawie

piórko
I ude
aby p
A
wybij
taki b
wirow

Jak w
Grajże
Tańca
Jadła

Zewsz
I koral
Śliczne
Tańczą

Nałapiemy ci, mateczko,
Białych puchów światy całe,
I przyniosą ci gościńce
Twoich dzieci rączki małe...

— Ja, mateczko, zniosę tobie
Szum donośny, wichru granie,
Będziesz miała pomocnika,
Gdy cię zmęczy kołysanie...

— Ja ci zniosę mrozu siłę,
Abyś rączek nie trudziła,
Zechcesz, — każesz mrozom dźwigać
Każdy ciężar — matko miła...

— Ja, najmłodszy synek mamy,
Z śnieżnych gwiazdek wianek zrobię,
Białe ja doń wplotę kwiaty,
Motylami go ozdobię...

— Dzieci, dzieci, powracajcie,
Ja się bardzo o was boję,
Po cóż matki trwożyć serce,
Po co lać w nie niepokoje?

— Mamo, mamo — już idziemy,
Zmarzły małe twoje dziatki,
Nic... nic... tobie nie niesiemy,
Ale chcemy już do matki!...

Marcelina Kulikowska.

łąc
gdy
śm
i w
szy
po
że
z b
i p
że
nie
ter
Pie
któr
i Lo

— Dobrze, po obiedzie pojedziesz, ale mama się zmartwi, gdy wrócisz.

— Dlaczego mama się zmartwi?

— Bo za drogę będzie musiała trzy ruble zapłacić. A ojciec akurat nie robił, bo majster wyjechał — i mama była chora, bo się mała siostra urodziła, i doktór dużo kosztował.

Lewek westchnął ciężko i zgodził się grać w domino. A potem wieczorem znów zaczął trochę płakać, bo przypomniał sobie, że miał na stacyi nowy kapelusz, który ojciec chciał zabrać do domu. Ale ojciec pewnie zgubił w tłoku nowy kapelusz, a kapelusz pół rubla kosztował.

I podyktował list do ojca, że nie płacze, że nie chce wrócić do domu, że wcale nie tęskni, bo chce być zdrów, żeby tatuś nie miał zmartwienia. I co się stało z kapeluszem?

Ojciec odpisał, że kapelusza nie zgubił i przyniesie go na stacyę.

Lewek dużo razy brał list i oddawał znów do schowania, i przestał zupełnie wybierać się do domu — i coraz mu lepiej wieś się podobała.

Raz jeszcze miał Lewek zmartwienie: zgubił chustkę do nosa. Jakże jej nie miał zgubić, kiedy tyle szyszek i kamieni nosił w kieszeni? Chustka się prędko znalazła.

I jeszcze raz jeden strapiony był, ale teraz już z własnej winy: gwizdał i psztykał palcami wieczorem na

lekie było od tej anarchji, umysłowej i obyczajowej, jakiej jesteśmy świadkami dzisiaj, że jednem słowem wyrazowi „społeczeństwo" odpowiadała treść więcej określona niż obecnie. Był zanik myśli i działalności politycznej, ale było niewątpliwie życie publiczne z jego gwarem, z jego kwestjami, z mniej lub więcej szczerym zapałem tych, którzy brali w dyskusjach bezpośredni udział, z mniej lub więcej żywem zajęciem tych, którzy tamtych czytali lub słuchali.

W chwili obecnej tętno życia zbiorowego uderza słabo. Fakt ten stwierdzić można w różnych gałęziach działalności kulturalnej; daje się on odczuwać bardzo wyraźnie przy obserwowaniu objawów twórczości literackiej i naukowej. Wprawdzie możnaby powołać statystykę ruchu wydawniczego na poparcie wywodów, prowadzących do wniosków wprost przeciwnych, ale nie chodzi przecież o formalną, lecz o realną stronę współczesnych procesów umysłowych. Otóż realna strona mierzy się przedewszystkiem intensywnością i szerokością zainteresowania, jakie fakty odpowiedniej twórczości wzbudzają w umysłach środowiska. Wpływ książki nie mierzy się ilością rozprzedanych egzemplarzy, lecz reakcją na czytelników, która wyraża się w głębszem przejęciu się daną książką, wzbogaca samą myśl zbiorową i może jej nadać nowy kierunek.

Otóż nie widać bynajmniej, ażeby współczesne książki choćby nawet głośnych i powszechnie uznanych autorów wywierały wpływ, pobudzały do głębszego skupienia i poważniejszej myśli. Tłum inteligencji lub pseudointeligencji chwyta nową książkę jak sezonową nowość, poświęca jej nieco płytkich i banalnych rozmów i szybko przechodzi do następnej nowości, która znowu przez kilka tygodni zajmuje honorowe miejsce w rozmowach towarzyskich. Jest to stosunek mniej więcej taki, jak do nowej operetki, stosunek, wyłączający głębsze zainteresowanie, i rzecz prosta, nie mający nic wspólnego z kulturą artystyczną. Literatura spada ze swego wysokiego stanowiska na poziom rozrywki bieżącej; jej dzieła w oczach szerokiej gawiedzi coraz bardziej przybierają znaczenie pewnego rodzaju produktów, zaspokajających zwykłą potrzebę czytania. Atoli, podlegając w tych warunkach prawu podaży i popytu, literatura musi w prędkim czasie obniżyć swą wartość, i chociaż zyska na ilości, straci niewątpliwie na jakości. Szereg wymownych objawów, których rozbiorem nie możemy się w tej chwili zająć, świadczy, że istotnie w tym kierunku posuwa się „ewolucja" naszej literatury. Znakomity krytyk francuski Hennequin uważał, iż w twórczości literackiej uczestniczą i czytelnicy danego autora; jeżeli teza powyższa jest słuszna, to niewesołe horoskopy stawiać można naszej literaturze w najbliższej przyszłości.

Analogicznie układa się stosunek publiczności do teatru, który wyraźnie schodzi do roli rozrywki dla tłumu i w tym charakterze spotyka w iluzjonach i kabaretach konkurencję coraz skuteczniejszą. Niema chyba potrzeby rozwodzić się nad tem obszernie, że jeżeli zanika środowisko, dla którego sztuka dramatyczna jest czemś wyższem, niż zwykła rozrywka, to teatr skazany jest na szybkie staczanie się ku ostatecznemu upadkowi, chociażby nawet przedstawienia „robiły kasę". Zresztą z biegiem czasu ustępować muszą rozrywkom pośledniejszym, a skutki tego odczuć musi wkrótce i kasa.

Literatura i sztuka stanowią wszędzie ważny czynnik spójni społecznej. U nas, przy niesłychanem zacieśnieniu życia publicznego, odgrywały one rolę daleko większą, stając się niejako surogatem i innych dziedzin życia zbiorowego. Już Brandes w swych opisach Polski zauważył, że autorowie i literaci pozyskali tu pewne specjalne przywileje i ujawniają też odpowiednie pretensje. Fakt ten powstał na tle nienormalnych warunków życia tutejszego.

Otóż stwierdzić należy, że w czasie obecnym nawet ten czynnik traci u nas to społeczne znaczenie, jakie posiadał jeszcze przed kilku laty. W powodzi ogólnej apatji roztopiła się i ta ilość zainteresowania, na jakie umiała się zdobyć nasza publiczność dla literatury, sztuki i niektórych popularniejszych gałęzi nauki.

Cóż dopiero powiedzieć o innych dziedzinach życia zbiorowego! Tutaj apatja przybiera rozmiary tak potworne, że odbiera nam w znacznej mierze cechy społeczeństwa cywilizowanego i spycha do rzędu jakichś amorficznych ludów. Ile przesuwało się w ostatnich latach spraw publicznych, tylekroć w odmęcie kłótni partyjnych, czy koteryjnych tonęła rzeczowa opinja.

Rozlegają się wciąż w prasie naszej skargi na zaciekłość partyjną. Warto zastanowić się nieco nad powyższym zarzutem i poszukać istotnego winowajcy. Jeżeli chodzi o nasze stronnictwa polityczne, to wiadomo powszechnie, że wszystkie razem stanowią one zaledwie niewielką część naszego społeczeństwa. W dodatku siła ich z natury rzeczy nie może się sumować, przeciwnie, paraliżuje się wzajemnie. Zkądże tedy owa mniejszość to składająca się z odłamów, zwalczających się nawzajem, we wszelkich sprawach zapanowuje nad t. zw. bezpartyjnym ogółem tak dalece, że nawet głosu jego [illegible] Dalej należy podkreślić fakt, że stanowisko różnych klik lub koterji w danej sprawie nie idzie bynajmniej równolegle do jakichkolwiek stanowisk politycznych lub istniejących stronnictw. Zazwyczaj dopiero na tle danej sprawy tworzą się jakieś kliki z ludźmi mniej więcej bezpośrednio w sprawie tej zainteresowanymi. Oczywiście ludzie ci i ich zwolennicy muszą ujawniać partyjność. Dlaczegóż jednak pozostały ogół wcale nie zabiera głosu, albo zabiera go po to jedynie, ażeby samą sprawę przytłumiać, a obie strony pogłaskać maksymą: Siedźcie cicho, nie kłóćcie się! Z rozważania stosunku naszej t. zw. opinji do spraw publicznych płynie wniosek smutny, a zgoła odmienny od tego, jaki ma kurs ustalony. Da się on streścić w sposób następujący: wskutek powszechnej apatji, rzeczy publiczne nie budzą zajęcia, jako takie; obchodzą one naprawdę tylko tych, którzy bezpośrednio lub pośrednio są w nich zainteresowani, i którzy, rzecz prosta, patrzą na nie z punktu widzenia osobistego lub koteryjnego. Jeżeli tak jest, to największą część winy trzeba przypisać apatji ogółu, a nie owym partyjnym nałogom; gdyby opinja owego ogółu reagowała należycie na fakty, kłótnie koteryjne straciłyby wszelkie znaczenie i nie mogłyby tonu opinji tej nadawać. To wstrętne ziele krzewi się bujnie na bagnisku bierności i apatji.

Apatja taka jest stanem chorobliwym i ze swej strony wywołuje chorobliwe objawy. Jednostka, nie zdając sobie nawet sprawy z nienormalnego stanu środowiska, czuje się w niem źle i szuka jakiejś ucieczki lub środka narkotyzującego.

Czyż inne znaczenie mają różne okultyzmy i teozofje, które zdobywają sobie u nas całe rzesze praktykujących wyznawców? Spełniają one tą samą rolę, którą zazwyczaj spełniały w okresach depresji; zapełniają jako tako pustkę duchową, pozwalają zapomnieć o rzeczywistości, uciec od niej. O ucieczkę bowiem tu chodzi.

Jeszcze wymowniejszem świadectwem tej samej potrzeby jest gorączka podróżowania, którą stwierdzić można na każdym kroku. Jest to dzisiaj bodaj najmilszy temat rozmów towarzyskich. Ci, którzy mają środki, układają szczegółowe plany przyszłych wycieczek; ci, którzy ich nie mają, podróżują w wyobraźni, snując swe wędrowne marzenia i zbierając z upodobaniem odpowiednie informacje. Wreszcie nie brak i takich, których nic pozytywnego nie nęci z oddali, którzy pragną tylko na czas jakiś „wyjechać".

Nastroje podobne nadają często zebraniom charakter jakiejś przypadkowej gromady, będącej na popasie i mającej się rozlecieć lada chwila. Stanowią one wymowną wskazówkę chorobliwego stanu środowiska, które wprawdzie nosi miano społeczeństwa, ale w rzeczywistości niem być przestaje.

* *

A jakież na to wszystko lekarstwo?—zapyta niejeden czytelnik, który przyzwyczaił się do myśli, że na każdą chorobę i na każde niedomaganie społeczne powinien istnieć właściwy specyfik.

Upadek naszego życia publicznego jest wynikiem wielu faktów i bardzo zawiłych procesów, które nie od dzisiaj wpływ swój wywierają. Chodziło mi o uwydatnienie tego, co jest zarazem czynnikiem i skutkiem owego upadku, zastraszającej poprostu apatji i obojętności jednostek na wszelkie dziedziny życia zbiorowego. Jest to

BABCIA.

Mieliczkowa czuła chwilami, jak głowa jej w próżnię leci, w przepaść czarną, beznadziejną, otwartą...

W skroniach rodził się szum głuchy zrazu, tępy, potem nagle stawał się wyraźniejszym, przemieniał w turkot, grzmienie głośne, i oto wtedy głowę chwytały owe silne ręce i ciągnęły w tył, w oną ziejącą przepaść...

Staruszka otworzyła oczy i uniosła się na poduszkach. Chwycił ją lęk. Zdusił kościstemi dłońmi za gardło, szarpnął wyschłą piersią, po plecach przebiegł suchym, gorącym dreszczem.

Probowała utrzymać się w półsiedzącej postaci. Oczy otworzyła, rozszerzone źrenice zaciemniały wyraźnie pośród szklącego się białka. Ręką prawą chwyciła za zwieszający się brzeg pierzyny, zacisnęła ją silnie, kurczowo, aż sucha skóra grzbietu ręki wygładziła się niemal z fałdów.

Rękę prawą wyciągnęła do dywanu wiszącego na ścianie. Macając szorstką, strzyżoną wełnę, Mieliczkowa natrafiła na drewnianą ramę obrazu św. Józefa. Dobry błysk zagrał w oczach starej.

— Święty patronie, ratuj...

Uczuła pewną ulgę. Żółta, sucha twarz Strachu odeszła od niej.

Siedziała teraz niemal wyprostowana, nie opierając się o poduszki. Po ustach przebiegł promyk, podobny do uśmiechu.

Nie trwało to jednak długo.

Po chwili przyszedł nanowo bezwład. Nad głową, nad ciałem zawisła czarna, niezmierzona próżnia i, dygocąc, opadła Mieliczkowa bezwolna na posłanie. Zapadła teraz w stan półsenny. Sprawiło jej to nawet pewną ulgę. Suche ciepło przeniknęło ciało, powieki zasunęły się na oczy, małe, niewyraźne, pierzchliwe myśli błąkały się w mózgu.

Kupiąc resztki świadomości, spróbowała wyliczyć chwilę nadejścia posługaczki. Pragnęła zrozumieć obecną porę dnia. Ale niemal nie mogła myśleć. Mózg zalewał się tą samą, co i ciało—ciepłą, suchą falą...

Jednakże szelest poruszonej żywo klamki usłyszała wyraźnie, i wtenczas pojęła odrazu, że nie czas jeszcze przyjścia posługaczki.

Drzwi otworzyły się śmiało, nagle—stara zrozumiała:

— To Staszek...

Piękny chłopak podszedł do łóżka, stanął w jego nogach, ręką dotknął skraju pierzyny.

— Babciu...

Stara drgnęła, serce zabiło jej kilkakrotnie silniej. słaby rumieniec podpłynął do twarzy. Mówić nie mogła, głos uwięziony pozostał w gardle.

Wnuk podniósł oczy ku twarzy babki; cicho na na końcach palców podszedł ku drzwiom kuchenki—były rozwarte, kuchenka zaś cicha i pusta.

Jednakże głosem przyćmionym zapytał:

— Niema Kasi?

Stara przecząco głową ruszyła.

Niewyraźne, nieokreślone uczucia zaczęły przebiegać po twarzy chłopca. Uczuł nagłą nieśmiałość, było mu strasznie niemiło w tym pokoju. Zawahał się, i jak gdyby chciał już usiąść na pustem krześle, stojącem przy stole. Położył nawet dłoń na jego grzbiecie, lecz, nagle, postanowienie zmienił, a po twarzy przebiegł mu wyraz ostrej stanowczości.

Teraz odrazu zwrócił się ku szafie. Stała ona naprzeciwko łóżka. Starucha odwróciła ku niej lekko głowę i ciałem drgnęła gwałtownie.

Staszek drzwi szafy uchylić spróbował, spotkał się jednak z oporem: były zamknięte, w zamku nie było klucza.

— Babciu, gdzie klucz?...

Głos jego miał pewien kapryśny dźwięk.

Stara przymknęła oczy.

Chłopak uczuł nagły przypływ nienawiści do jej leżącego, wyschłego ciała.

Głos jego stał się już twardym i suchym.

— Babciu, proszę powiedzieć, gdzie są klucze?...

Piękne jego, czarne oczy wpiły się w twarzy starej. Już nie nienawiść czuł ku niej, ale wstręt raczej, jakieś plugawe uczucie, które nim zawładnęło bezbrzeżnie.

Stara milczała, wtulona w siebie i już nie drżąca. Doskonale rozumiała, czego żądano od niej; uczuła w sobie siłę protestu, uczuła, że się nie zdradzi, że twarzy nie da żadnym znakiem zabłysnąć...

Chłopak stał jeszcze nieporuszony. Wyraz zniechęcenia przebiegł po jego twarzy. Twarz ta, piękna, gładka, o ślicznej złotawej skórze—zmięła się i zszarzała.

Postąpił ku łóżku. Zdobył się na znaczniejszy wysiłek, aby wezbrać spokojem i pewnością.

— Moja babcia, niech babcia powie, niechże babcia wskaże, gdzie klucz od szafy... Ja ztamtąd coś potrzebuję wziąć...

Stara leżała nieporuszona. Już zrozumiała, że nie powinna była zostawiać na dawnem miejscu książeczki. Zrozumiała, że tamten zły błysk jego oczu, gdy książeczkę ujrzał—wrócił do niej znowu.

tem groźniejsze, że różne objawy i formy owej apatji zyskują często w opinji naszej uznanie i aprobatę jako akty bezinteresowności i cnoty obywatelskiej.

Tadeusz Grużewski.

FRAGMENT.

Na słowa M. Konopnickiej:
„Na wschód wszechżycia obróć lico...“

Na wirach życia, jako arka,
Pieśń twa się pławi—słodka—mądra...
Gdy chore serce gniewnie sarka,
Gdy żre je rozpacz — ty — lekarka,
Umiesz do cierpień sięgnąć jądra.

Bo wiesz ty dobrze, że żałobą
Nad wszystkie cięższą, męki szczytem,
To stać nad grobem późną dobą
I po dniu pracy tylko z sobą
Żal brać, że górnym gdzieś błękitem

Mar, z nieba rodem, orszak sunie...
Wszystkie-m ja oblec chciała kształtem
I na ojczyste ściągnąć runie
— Czy w ros różańcu, czy w piorunie —
Szczerym, namiętnym serca gwałtem!

A znój — bez plonu... Próżne dłonie...
Złota różanośc zorzy zgasła,
Niebytu ciemne huczą tonie,
Ja — w niemej trwodze chylę skronie
I dźwigni szukam... czekam hasła...

„Na wschód wszechżycia obróć lico...“
Tak? Mam łańcucha być ogniwem,
Co płodną bolu tajemnicą,
Wieczną nadzieją i tęsknicą,
Siewem jest—dzisiaj, jutro—żniwem?

Tak! „...w siewnym pyle rozwiać serce...“
Więc w łzach rozbrzękłe rzucać ziarno
Na pól ugory, łąk kobierce?
Z płomieni ducha po iskierce,
W tajnię przyszłości miotać czarną?

Tak! Mądrze uczysz... Duch, gdy dumny,
Siebie oddając. w tryumf wierzy!
Tylko niech sosen mi kolumny
Rozhowar westchnień grają szumny —
Niech muśnie czoło wonny, świeży

Brzóz naszych warkocz—szemrząc zcicha,
Niech mi pod stopy padną wrzosy—
O! przymknę usta do kielicha,
Zkąd pierś wygasła burzę wdycha,
I spiekę wezmę — zamiast rosy!

T. Prażmowska.

Pochód na Wawelu.

W styczniowym numerze *Krytyki* krakowskiej, miesięczniku, poświęconym sprawom społecznym, literaturze i sztuce, spotkałem artykuł o rzeźbach Wacława Szymanowskiego. Autor, mówiąc o dziwnem, niewytłumaczonem zapomnieniu, jakie otoczyło pracownię artysty, gdzie powstaje właśnie najpotężniejsze już nie w Polsce tylko, ale na całym świecie dzieło rzeźbiarskie, przeprowadza ironiczną analogję z bujną epoką renesansu włoskiego, kiedy to ukazanie się dzieła sztuki było zdarzeniem wielkiej doniosłości dla całego społeczeństwa, powszechnem świętem narodowem.

„W Krakowie, pisze on, można żyć lata całe i nie wiedzieć, że obok nas żyje artysta wielki, że oto w pracowni jego dojrzało i kształt ostatecznego wykończenia otrzymuje dzieło wielkie.

„Za to renesans—robi tu złośliwą uwagę autor—nie miał dziennikarstwa, a my je mamy, obfite, wszechwiedzące dziennikarstwo, sumiennie i inteligentnie informujące o wszystkiem, co istotnie Wielkie i *Piękne*. Przykładem: otoczone tajemniczością i mgłami nazwisko Wacława Szymanowskiego.

„I mógłby tak Szymanowski żyć i pracować, samotny, jak każdy duch wielki, tylko w gwiazdę swych wizji wpatrzony, jak każdy artysta prawdziwy. Dla nas, nie dla niego, byłoby krzywdą to odcięcie od świata, gdyby nie fakt, że oto krzywda, społeczeństwu przez to odcięcie dziejąca się, zbyt zaczyna być jaskrawą i staje się szkodliwą dla idei, związanej z dziełem ogólnonarodowej doniosłości, którego zaniedbanie w obecnej chwili niepowetowaną byłoby stratą.“

Przeczytawszy te słowa, poczułem się do winy. Rzeczywiście, wszakże przedewszystkiem moim obowiązkiem, jako sprawozdawcy z dziedziny sztuk plastycznych, było poinformowanie publiczności polskiej o tak niepowszednim, wprost gigantycznym tworze polskiego artysty. Tak było tem bardziej, że dotarłem w Krakowie do ustronnej pracowni przy ulicy Helclów, że dzieło widziałem na własne oczy, że mogłem je podziwiać osobiście i zrozumieć dokładnie doniosłość jego dla naszej najogólniejszej sprawy narodowej. Pan Szymanowski nietylko pozwolił mi obejrzeć swoje bardzo już daleko posunięte prace, nietylko dał mi wyczerpujące wyjaśnienia co do zasadniczej myśli projektu, ale nadto zawiózł na Wawel, ażebym tam na miejscu, wobec murów starego zamku królewskiego, mógł zdać sobie sprawę z ogólnego efektu, jaki pomysł rzeźbiarski artysty wobec całości odbudowy wywierać będzie, dzieło bowiem Szymanowskiego związane jest najściślej i bezpośrednio z tem wielkiem przedsięwzięciem, obchodzącem naród cały. Ma to być „Pochód historycznej Polski“, wyrażony w pięćdziesięciu dwóch kolosalnych figurach bronzowych, a łączący wraz z kolumnadą, która służy za podstawę, niby bogatą klamrą, dwa skrzydła odnowionego zamku.

Ażeby lepiej uzmysłowić znaczenie pomysłu Szymanowskiego, przypomnę tu konfigurację zamku wawelskiego. Olbrzymi czworobok budynków, ograniczający dawny dziedziniec turniejowy, jak widać z planów rekonstrukcyjnych i rozpoczętych już robót, ma być przywrócony do dawnej świetności, z zachowaniem całej czystości stylowej z czasów Zygmunta Starego. Czworobok ten tworzą skrzydła północne i wschodnie, pełne komnat, w których przechowało się wiele niezmiernie ciekawych zabytków architektonicznych. Od południa biegnie skrzydło, posiadające tylko krużganki, zwrócone ku dziedzińcowi ze ścianą zewnętrzną ślepą. Obecnie północne skrzydło z południowem łączy brzydki koszarowy budynek szpitalny, który tam na miejscu pono dawnych kuchni i stajni królewskich wystawiła wojskowość austrjacka. Oczywiście, budynek ten musi być zburzony. Co stanąć ma na jego miejscu? Czyż podobna odbudowywać dawne stajnie, po których zostały zaledwie fundamenty, zapewne nader ciekawe dla archeologów, ale nie stanowiące punktu wyjścia koncepcji architektonicznej, harmonizującej z otoczeniem? Szymanowski tedy proponuje połączenie skrzydeł jednopiętrową, odpowiadającą układem swoim istniejącym już krużgankom kolumnadą, a na niej ustawić „Pochód historyczny“, niepożyty pomnik dziejów Polski. Byłoby to niejako symbolicznem usyntetyzowaniem idei Wawelu, jako pamiętnika naszej dumy narodowej, pamiętnika zapisanego potężnemi głoskami olbrzymich spiżowych kształtów plastycznych.

Dzieje Polski, dzieje tego świetnego dworca królewskiego odżyły i mówią wielkim głosem o swej chwale. Wstały z grobów olbrzymy i, niby wyczarowana cudownie wizja antyczna, suną długim orszakiem po krużgankach pałacu.

Pochód prowadzi los—greczka Ananke z zawiązanemi oczyma. Kroczy za nią Zygmunt III-ci, król, który zamyka dzieje Wawelu, jako dworu, a jednocześnie dzieje Polski kwitnącej. Ciągną za nim Skarga, smutny w proroczem swem jasnowidzeniu, dalej Żółkiewski i husarja. Stanowi to pierwszą część pierwszej grupy, gdzie w drugiej części widzimy Batorego z Zamoyskim i również skrzydlatą husarję. To barok polski.

Druga grupa należy już całkowicie do renesansu, do świetnej, złotej epoki naszego „odrodzenia“ Zygmunt August z Barbarą otwierają ten pochód wspaniały. Król niesie w ręku pergamin, na którym spisano traktat unji lubelskiej. Dalej Zygmunt Stary z modelem Wawelu i dumna Bona w bogatych strojach, z ciężkim trenem, który dźwiga dwóch pazików. Za nim postępuje grono humanistów, zajętych ożywioną, niewątpliwie naukową dysputą.

W trzeciej grupie złączyły się style: gotycki i romański. Obejmuje ona rody Jagiellonów i Piastów: Władysław Jagiełło z Jadwigą, Kazimierz Wielki, Łokietek, wreszcie Bolesław Śmiały, a obok wróg nieprzejednany—święty Stanisław z tłumem ludu, tłoczącym się ku niemu ze ślepą żywiołową siłą.

Ostatnia ta grupa występuje z głębi krużganków, które dopowiedzą śladami przechowanych, w nich zabytków resztę dziejów. Artysta ujął tylko ich treść najistotniejszą, ich momenty najdonioślejsze, niby etapy wytyczne w pochodzie narodu.

Widziałem model „Pochodu“, wykonany w $1/5$ wielkości. Przytem dodać muszę, że stoi on już na drewnianym modelu kolumnady takiej, jaką projektuje artysta dla Wawelu—kolumnady, wykończonej do najdrobniejszych szczegółów, bo nawet kształty kapitelów najdokładniej piękną snycerską robotą są wycięte. Wobec tego widać tu należycie, jak pomysł rzeźbiarski wiąże się organicznie z koncepcją architektoniczną, jak stanowi wraz z nią nierozerwalną, doskonale harmonijną całość konstrukcyjną.

Wobec tego właśnie całość daje pełnię wrażenia rzeczywistego, a wrażenie to jest tak imponujące, że poprostu aż onieśmiela.

Doprawdy onieśmielony zostałem ogromem pomysłu Szymanowskiego, i to właśnie sprawiło, że po powrocie z Krakowa nie miałem odwagi wrażeniom swoim dać wyrazu w zwykłym artykule dziennikarskim. Zdawało mi się, że nie wniknąłem jeszcze dostatecznie w istotę rzeczy, że pobieżne zwiedzenie aktualnego stanu robót rekonstrukcyjnych na Wawelu, że przelotne przejrze-

---

Postanowiła jednak nie ustąpić, uczuła nawet nagły, niespodziany przypływ sił.

— Nie mam klucza!—głos jej był wyraźny i pełny.

— Nie ma babcia klucza? jak to?.. Moja babciu, ja o klucz proszę, ja proszę...

Stał nad łóżkiem nieco pochylony, oczy jego wpatrzyły się w nią wrogo, groźnie.

Uczuła potęgę tego wzroku, siłę i prężność tego młodego ciała.

Jeszcze raz chciała zaprzeczyć mową. Ale już słowa nie szły przez gardło. Głową tylko kilkakrotnie poruszyła.

Stał nad nią pochylony, wargę dolną lekko zagryzł, wydęła mu się górna, na której czerniał miękki, krótki wąs.

— Moja babciu, niechże babcia nie zwodzi, niech babcia da klucz... moja babciu...

Nasłuchiwał odpowiedzi. Stara leżała nieporuszona.

— A może tu, pod poduszką...—Rękę wsunął ostrożnie, niegłęboko, pomiędzy materace i ogromną, szydełkową koronką ubraną poduszkę.

Wtenczas twarz starej mimowoli drgnęła, zapanowała jednak nad sobą, aby wrócić do pozoru spokoju, ale już wnuk drgnienie dojrzał.

— Tu ma babcia, tu?... tu?...

Pytając rękę sunął głębiej; tłoczył ją dalej, dalej, aż się kark starej na fali poduszki uniósł w górę.

Twarz jej z bladej stała się ziemistą.

Mimo największe wysiłki, oporu z siebie dobyć nie mogła, tylko głosem ostrym poszepnęła:

— Idź...

Chłopak właśnie trafił na twardy chłód żelaznego klucza. Pięść zaciśniętą wysunął z powrotem, ku drzwiom szafy podszedł. Ręka mu jeszcze drżała, gdy klucz do zamku wkładał. Ręka drżała, a serce biło ogromnie. Przemógł się, aby na starą nie spojrzeć, czuł tylko, że tam, za nim, leżała nieruchoma, blada...

Cichy zgrzyt klucza bieg myśli jego odwrócił. Uchyliwszy połówkę drzwi, górną i dolną zasuwkę odsunął. Na półkach leżała bielizna, gałganów mnóstwo, kilka torebek ze sklepową firmą.

Z jednej z nich, przedartej, wysypały się białe kostki cukru.

Staszek skupiał myśl. Pamiętał, że leżała dość wysoko na drugiej półce, tak, na drugiej...

Odrzucił stary, czarny, zniszczony kapelusz, opięty rudziejącym wualem.

Spadły z nim jednocześnie na ziemię i wycerowane czarne, bawełniane rękawiczki. Teraz rękę wsunął pod stos zżółkłych, grubych chustek od nosa. Wyczuł szeleszczące papiery. Błysk zagrał mu w oczach i twarzy.

Książeczkę kasową wyjął. trzęsącą się trochę ręką do kieszeni prawej, górnej ją wsunął. Spadłe na ziemię kapelusz i rękawiczki na półkę znowu położył, pośpiesznie zasuwki zasunął, drugą połowę drzwi przymknął, kluczem obrócił.

Na starą spojrzał przeciągle, na twarzy miał już jakby wyraz ulgi.

— No... babciu... no...

Za drzwi wyszedł, przymykając za sobą starannie klamkę.

Schodził ze schodów niemal wesół, niemal radosny.

Stara leżała nieruchoma. Tępe uczucie zgrozy owładnęło nią.

Marcelina Kulikowska.

projektu. Miano się oświadczyć, między innemi, przeciwko kurjom narodowościowym. Opinja taka zgodna byłaby z ogólną tendencją październikowców, którzy upodobali sobie hasła *jedinienja*, więc mogłaby liczyć na większość w Dumie. Jak przedstawia się racjonalny pogląd polski na tę sprawę?—nie umiałbym powiedzieć, bo rzecz jest bardzo skomplikowana i wymagająca szczególnej znajomości stosunków miejscowych. Wiem tylko, że są między polakami (może w mniejszości?) bardzo poważni ludzie, którzy w dzisiejszych warunkach politycznych skłonni są uważać kurje narodowościowe za „mniejsze zło“.

Dodam jeszcze, że do komisji samorządowej należą z polaków pp.: Władysław Grabski, Zawisza, Dymsza i wreszcie ostatnio wybrany p. Święcicki.

Co się tyczy podkomisji chełmskiej, to ona znacznie zwolniła bieg swych robót. W ubiegłym tygodniu np. nie było wcale posiedzenia. Przekonano się widocznie, że niema widoków na przeprowadzenie projektu jeszcze w czasie tej sesji, więc się już nie śpieszą. Zresztą rozprawy budżetowe istotnie bardzo stoją na przeszkodzie, a przytem niektórzy posłowie nietylko tę sprawę mają na głowie; np. prezes podkomisji, p. Antonow, jest wogóle pracowity i ruchliwy i przez frakcję swą do wielu prac używany. Przyszłe posiedzenia podkomisji w ten sposób będą się odbywały w czasie posiedzeń pełnej Dumy (bo inaczej niepodobna), tylko że „w miarę możności“. Płaczą biskup Eulogjusz i hr. Bobrinskij, ale cóż? *dura necessitas.*

B. K.

FRAGMENTY.

Z ZIMY.

Biała zima — staruszka chędoga. —
Na wiatr czesze, czesze swoje włosy,
Dusza moja żebracza, uboga —
Dusza moja waży własne losy — —

Martwe drzewa nad rzeką stojące —
Rzekę skryła sukienka lodowa — —
Smutki moje ucichły łkające,
Starki siwa schyliła się głowa...

Zimy bajka, jak serce w krysztale,
Pochowane, gdy słońca nie stało — —
Gdzież te żywe płonące korale?...
Pusto, pusto na świecie — tak biało...

A pragnienia od serca odchodzą
Jak szron sypki, co z drzewa opada,
Gdy śnieżyce po nocach zawodzą,
Śmierci dusza się moja spowiada. —

Z MOJEGO OKNA.

Idą ludzie
Po ulicy,
Po ziemi,
I ból idzie,
I śmierć idzie
Za niemi...

W niebo patrzę:
Wiatr obłoki
Pogania,
I chmurami
Złote słońce
Przysłania...

Marcelina Kulikowska.

słomy w kącie. Te trzy przedmioty stanowiły całe umeblowanie mieszkania.

Próby twórczości literackiej NA UKRAINIE.

(Z powodu „Noworocznika literackiego autorów polskich i ukraińskich“. Zeszyt 1, rok 1909.)

Nazbiorek powyższy, wydany w Kijowie, złożyły się utwory tak ukraińskich, jak i polskich poetów i prozaików. Dwa języki pokrewne, z łatwością mogące wpływać na siebie wzajem, zespoliły się tu w chór jeden, którego zapiewem—jest żądza porozumień duchowych, ściślejsze, bo ideowe spokrewnienie się dwu bratnich narodów, zapatrzonych w przyszłość po przez mgły i mroki dnia dzisiejszego.

Jeden z redaktorów zbiorku, p. T. Michalski, kończy swoją przedmowę takiemi słowami:

„Duszą, sercem całem pragniemy, aby w tych szybkich, błyskawicznie łamanych i krzyżujących się przeobrażeniach, którym od lat pięciu ulega społeczeństwo wszechrosyjskie,—młoda Ukraina literacka z *nami* pozostała... Ale gdyby losy złowrogie tak zrządziły, iż stałoby się miało inaczej,—niech i na to będzie pobratymców naszych ukraińskich wola święta.“

Pod względem literackim zbiorek powyższy jest zaledwie skromnym wyjątkiem, modlitewnem wyciągnięciem dłoni ku przeczuwanym we śnie—zorzom i rozświtom. To też nie jako pieśń dopełnioną, lecz jako modlitwę o pieśń przyszłą i jej cuda oddalne — sądzić go musimy. Modlitwa, o ile szczera, ma zawsze znaczenie i tę moc psychiczną, która wszystkie siły ducha ku jednemu celowi napina. Zaś wola, tak napięta i skupiona, dosięgnąć potrafi upatrzonego celu, jeżeli się stanie wreszcie naturą człowieka, jego darem, talentem, zwycięstwem.

Zanim jednak przyjdzie spełnienie marzeń, zanim się akt woli twórczej dopełni i w pieśń upragnioną rozdzwoni, ci, którym praca przedwstępna w udziale przypadła, muszą mieć i mają mniejszą lub większą świadomość [illegible]

zdolności przejmowania się „nowemi prądami“,—ale starania—nieudałe, zdolność — nie wyzyskana. Prowincja śpiewa,—śpiewa, że tak powiem, „całą gębą“, nie zdążywszy jeszcze opłukać jej z rozmaitych kurzów i pyłów, ale nic, zda się, nie ma przeciwko takiemu płukaniu...

Pomijam tu prace pośmiertne znanego nam z *Chimery* a pełnego talentu M. Wikrzemskiego, pomijam kulturalne i subtelne rozmyślania p. Cezarego Popławskiego, oraz obietnicami tu i owdzie brzemienne wiersze p. Ksawerego Glinki. Ale ogólne wrażenie raczej nasuwa myśl o potrzebie pracy kulturalnej, aniżeli o istnieniu dzisiaj na Ukrainie literatury polskiej.

Kto wszakże pamięta Kijów przed kilku zaledwie laty, kiedy tam mówiono i pisano po polsku w sposób zgoła dowolny i nie zawsze zrozumiały, ten przyzna młodemu pokoleniu niemałe zwycięstwo i niemały postęp, w pracach zaś w „Noworoczniku“ drukowanych, dojrzy zamiast upragnionej „literatury“, nie mniej upragnioną szkołę języka polskiego, pierwsze a świadome tego języka ukochanie i wyczucie.

Rzadko tu bowiem natrafimy na błąd niespodziany, niedobór, niedopatrzenie lub kalectwo.

A chociaż nie jest to jeszcze język twórczy, pierworodny, odrębnie, po swojemu pomyślany, to wszakże poprawność tego języka i jego niezaprzeczona dążność ku coraz większemu doskonaleniu się i wzbogacaniu jest radosnym dowodem i oznaką tego, ile zmian i walk duchowych przeżywa młode pokolenie, ile nowych wymagań i potrzeb kulturalnych narodziło się już w umyśle społeczeństwa kijowskiego, które jeszcze niedawno obojętne było na nieznane mu tajemnice mowy polskiej.

Nie wymagajmy tedy literatury skończonej i doskonałej. Na t. zw. „gruncie kijowskim“ żadna literatura, jak dotychczas przynajmniej, żaden talent powstać nie może, a tem bardziej—o ile nawet powstanie— nie może się rozwinąć, nabrać tchu, zaprawić skrzydeł do lotów wyżynnych. Zdolność przyrodzona jest tylko wydartym przeznaczeniu, zasobem pewnych, mniej więcej określonych możliwości wraz z instyktownem poczuciem koniecznych dla ich rozwoju warunków. Takich warunków „środowisko“ kijowskie jeszcze nie posiada. Zdolności, bardziej czujne i posłuszne swym instynktom, opuszczają Kijów, aby szukać gdzieindziej warunków odpowiednich.

Reszta, która chce dla kraju i jego przyszłości w obrębie samego kraju, na miejscu pracować, czyni z siebie mniej więcej świadomą ofiarę. Miejmy przeto nadzieję, że przyszłość tę ofiarę sowicie wynagrodzi. Ruch umysłowy polski i ukraiński na kresach wzmaga się coraz bardziej. Oba narody pobratymcze, jednaki krajobraz miłujące i pięknem jednakiej przyrody oczarowane, jeśli nie teraz, to kiedyś, w chwili głębszego w tę przyrodę wniknięcia—muszą wzajem wpływać na siebie, wzajem korzystać ze zdobyczy duchowych [illegible]

nie licząc już zapomóg i częstokroć umarzanych pożyczek.

Gdy Towarzystwo zawiązało się w skromnym lokalu domu Mokronowskich, liczyło 273 członków, w majątku zaś posiadało trochę mebli, pozostałych po wystawie krajowej i 700 rb. gotówki. Dziś liczy około 6,000 członków, mieści się w gmachu własnym, posiada galerję dzieł sztuki i zbiory, oszacowane na kilka kroć sto tysięcy rubli.

Posiada, niestety, jednak i znaczne ciężary, wypływające z budowy gmachu, oraz z obwarowań niektórych legatów. Towarzystwo jednak żywi nadzieję, że przy rozwijającem się wciąż poczuciu kultury artystycznej, liczba członków w dalszym ciągu wzrastać będzie, a zwiększone w ten sposób fundusze obrotowe zezwolą na częściowe zmniejszenie ciężarów. A może z czasem znajdzie się i ktoś, chcący uwiecznić swe imię obok nazwisk Hilchena i Góreckiej...

Gdy pierwsze pokolenie ufundowało instytucję, a drugie byt jej ugruntowało, niechaj trzecie pomoże jej rozwinąć lot szerszy. Wszak nikt nas w tem nic wyręczy: musimy budować — „sami sobie“, więc — budujmy dalej, skupiając się coraz liczniejszym zastępem przy tem dziele trzech pokoleń, stworzonem dla dobra sztuki polskiej — dla chwały narodu.

Rzeczy polskie w Dumie.

(Od specjalnego korespondenta „Kurjera warsz.“)

Petersburg, 3-go marca.

Jeszcze nie koniec. Jeszcze będzie piąty wieczór niezwykłej pod względem zajętego przez nią czasu interpelacji opolskiej. W przyszłą środę przemówi sześciu mówców, mianowicie pp. Juraszkiewicz (dokończy wczorajszej mowy), Rodiczew, Aleksiejew, Parczewski, bar. Czerkasow i Dymsza, poczem nastąpi uchwała. Nie jest, rozumie się, wyłączone, że i przedstawiciel rządu, dyrektor departamentu wyznań obcych, p. Charuzin, zechce także wziąć udział w rozprawach.

Formuł do głosowania będzie przedstawionych trzy: przez nacjonalistów (już nam znana z mowy Bobrinskiego), przez październikowców i przez polaków. Tych ostatnich w tej chwili nie podaję, ponieważ, niezgłoszone dotychczas urzędownie, mogą uledz zmianie. W każdym razie to wydaje się pewnem, że ani formuła nacjonalistów, ani formuła polaków nie znajdzie większości. A wówczas? Wówczas możliwe jest, że — żadna nie przejdzie. Czyli? Tłumacząc rzeczy parlamentarne na język życia codziennego, trzeba będzie powiedzieć, że sprawa pozostanie nierozstrzygnięta. Będzie to zatem bardzo w stylu dzisiejszych czasów, oraz taktyki centrum Dumy.

Na bilans tych ciekawych rozpraw przyjdzie czas dopiero po ich zupełnem zakończeniu. Napiszę wtedy obszerniej, o ile notabene poczta warszawska, w ostatnich czasach funkcjonująca opłakanie, raczy doręczyć list mój redakcji. (O tej poczcie wypadnie chyba napisać, prócz zażaleń urzędowych, pamflet specjalny, bo ona wprost kompromituje działalność sprawozdawczą korespondentów petersburskich.) Bilans zaś ten będzie ciekawy, bo nietylko pozwoli nam zorjentować się w danem realnem zagadnieniu politycznem, ale także w siłach Koła polskiego. To ostatnie osobliwie musi nas interesować teraz, kiedy w sesji bieżącej mamy przed sobą wielkie rozprawy o ziemstwa na Rusi, a w sesji przyszłej jeszcze większe o projekcie chełmskim.

Dotychczasowa statystyka interpelacji opolskiej przedstawia się następująco. Zajęła ona już 4 wieczory, czyli — odliczywszy początek posiedzeń, poświęcony zazwyczaj sprawom formalnym—co najmniej 8 godzin. Na przyszłą środę dla dokończenia rozpraw trzeba będzie przynajmniej trzech godzin, albo i 4-ch, tak że w całości na interpelację zużytych będzie około 12 godzin. Stanowi to nieco więcej, niż 2 całodzienne posiedzenia, które trwają od 11-ej do 6-ej, ale z dwiema przerwami, t. j. po $5^1/_2$ godziny.

Przemawiało dotychczas 16-tu posłów, mianowicie: od polaków pp. Dymsza, Jaroński, Nakonieczny, Żukowski i ks. Maciejewicz; od nacjonalistów pp.: hr. Bobrinskij, Pawłowicz, biskup Eulogjusz; od skrajnej prawicy: p. Zamysłowskij i duchowny Juraszkiewicz; od kadetów p. Karaułow; od postępowców p. Mikołaj Lwow; od socjalnych demokratów p. Czcheidze; od trudowików p. Bułat; bezpartyjny włościanin, dawniej ze skrajnej prawicy, dziś postępowy p. Gulkin i wreszcie październikowiec p. W. Lwow. W przyszłą środę zaś przybędzie do tej listy jeszcze dwu polaków, 1 kadet, 1 nacjonalista i 1 październikowiec (bar. Czerkasow) — z prawego skrzydła tej frakcji.

Najdłuższe mowy wypowiedzieli ks. Maciejewicz i biskup Eulogjusz. Każdy z nich mówił przeszło godzinę.

Za przyjęciem wniosków, wynikających z interpelacji, oświadczyło się dotychczas 10-iu posłów (w tem 5-iu polaków); przeciw—pozostałych 6-iu.

Muszę tu zaznaczyć, że jeśli telegram zawiadomi, iż ma mówić między innymi taki a taki mówca, a potem okaże się jakieś inne nazwisko, to niema w tem pomyłki korespondenta. Posłowie bowiem w razie potrzeby ustępują sobie miejsca i nawet prawa głosu. Tak np. na wczorajszem posiedzeniu p. Berezowskij, widocznie po mowie ks. Maciejewicza, ustąpił swojego prawa mińskiemu duchownemu, następcy Schmidta, Juraszkiewiczowi. Może się coś podobnego stać i na przyszłem posiedzeniu.

Interpelacja, która z początku gromadziła bardzo wielu posłów, dzisiaj widocznie zaczyna ich nużyć. Wczoraj był już dosyć kiepski komplet, t. j. taki, jaki bywa zwykle. Tylko polacy są wszyscy z obu Kół, czyli, jak jeden mąż, 17-tu (prócz p. Żukowskiego, znowu niedomagającego). Publiczności za to na trybunach zawsze bardzo dużo, prawda, że, jak się zdaje, ze 25% polskiej.

Rozmiary rozpraw opolskich pozwalają już dzisiaj zorjentować się w tem, czem będą debaty na tle projektu ziemstw ruskich i chełmskiego. Mogą one zająć całe tygodnie, a nie mówię tu oczywiście o jakiejkolwiek obstrukcji, którą regulamin Dumy uniemożliwia, lecz o chęci jednych wyjaśnienia rzeczy najdokładniejszego, a drugich — skorzystania ze sposobności do agitacji szowinistycznej. Okazało się także obecnie, że mobilizacja sił mówniczych polskich może być znaczna i że nasze Koła mogą stawić czoło najrozleglejszej debacie o rzeczach i sprawach polskich.

Skoro mowa o nich, skorzystam z okazji, aby poinformować czytelnika o stanie projektu ziemstw ruskich i projektu chełmskiego.

Projekt ziemstw, jak wiadomo, przekazano komisji samorządowej. Komisja ta jest zbyt liczna (66-iu członków), aby mogła *in pleno* rozpoznawać projekty, powinna więc była dla ziemstw wybrać przedewszystkiem podkomisję. Lecz to mogłoby sprowadzić zwłokę, której większość chciała uniknąć. Wbrew więc wnioskowi posłów polskich, którzy w charakterze kompromisowym radzili przekazać projekt do rozpoznania całemu prezydjum komisji, złożonemu z 7-iu członków, oraz wbrew innemu wnioskowi, który zmierzał do obrania trzech referentów zgodnie z trzema głównemi kierunkami politycznemi, uchwalono powierzyć pierwszy referat jednemu członkowi komisji, jej prezesowi p. Bałaszowowi. Tak więc p. Bałaszow da pierwszą charakterystykę projektu, a już łatwo się domyśleć—jaką. W tej chwili jest on chory i roboty ustały, ale będą podjęte pono niezadługo.

Tymczasem zebrali się najwybitniejsi rosyjscy posłowie z Rusi i Białorusi i wespół z zaproszonymi miejscowymi „znawcami“ przedmiotu wymieniali zdania co do poszczególnych punktów

---

rozstania nasuwała się jako konieczność—nieuniknioną.

Ostatnie dni przeznaczyli kochankowie na po-

kana wśród huraganu gwiazdka. Wpatrzeni w ów świetlany punkt, brnęli wciąż dalej, aż stanęli przed ciemniejszą jeszcze od ciemności nocy—

Furtjan zamilkł na chwilę, gdyż z oddali zbliżały się czyjeś kroki...

— Ot idzie nasz przełożony... proście go... ja



WIARA*)

(PAMIĘCI MARJI WYSŁOUCHOWEJ).

Wierzę, że płomień, który noszę w sobie,
Wybuchnie w ogień, który śmierć przetrawi,
Wierzę, że płomień od niewoli zbawi,
Wierzę, że wskrzesi Tę, co leży w grobie!

Wierzę ja w Jutro, co nadzieją zgorze,
W dzień wielki wierzę, w górne nasze święta,
...I Przyszłość wstanie wiarą mą zaklęta,
Chociaż ja sama w trumnę się położę...

Marcelina Kulikowska.

*) Ze zbiorku: Dusze kobiece, serca kobiece.

jest bardzo i konstruktywne — otwiera nowe światy i nieznane horyzonty, uczy rozumieć i porównywać, zwracając myśl mimowoli nawet ku polskiej skarbnicy ludowej.

Uczynił to samo i prof. Porębowicz. Z pól celtyckich, germańskich, romańskich zeszedł na zagon pszeniczny polski i przez porównanie rozsnuł nad nim szereg głębokich uwag. Taki znawca pieśni ludowej europejskiej, miał, rzecz naturalna — dużo do powiedzenia i o pieśni własnej — dobrze tedy, że zestawił ją w przedmowie do kart, z których duch taki obcy powiewa.

Przedewszystkiem trafne jest bardzo wydobycie pojęcia ludu z granic klasy społecznej. U prof. Porębowicza granica między ludem a resztą społeczeństwa idzie przez szkolną i dworską oświatę. Ludem jest to, co się styka bezpośrednio z przyrodą i co przechowuje mowę w kształcie starszym,





między ponurym tonem *sag* skandynawskich, a pogodnym toskańskich *rispetti*. Pieśni z okolic morza, gór będą obracać się we właściwej sferze przenośni, porównań, obrazów. Co więcej forma ich będzie dostrojona do przestrzeni. Powtarzanie drugiego wiersza strofy, po pewnej pauzie w pieśni tatrzańskiej widocznie obliczone jest na echo. Rytm gondoliery i rytm pieśni bretońskiej naśladują uderzenie fali. Pieśni stepowe przeciągają, „zawodzą“, polatując ku krańcom horyzontu...

A teraz o pieśni ludowej polskiej. Autor zakreśla zadanie polskiego folklorysty w sposób następujący: 1) Oddzielić pieśni ludowe i staroszlacheckie od pseudo-ludowych. 2) Odtworzyć kształt pierwotny pieśni, która jest zawsze budową logicznie rozwiniętą i skończoną. 3) Przywrócić właściwe formy języka ludowego na miejsce literackich. 4) Szukać pieśniom polskim analogji z obcemi, przyczem może nieraz wykryje się skąd i którędy przybyły. To praca najwdzięczniejsza, dotąd prawie że nietknięta. Nie tyle tu chodzi o wskazanie wszystkich tekstów analogicznych — gdyż można być pewnym, że jeżeli temat jakiś istnieje w dwu literaturach, to znajdzie się we wszystkich innych — ale o stwierdzenie analogji w ogóle, tym bowiem sposobem pieśń polska zostaje wcielona do

13

3 NUMER. LUTY 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARCELINA KULIKOWSKA.

Pokłon Życia.

Zaiste — jeśli dziś się nie obudzi
Duch - ogień, który złe w Polsce wypali,
Jeśli w tym gorzkim pogrążeni trudzie
Nie ujrzym słońca odbicia na fali...
Jeśli martwotę spijem — żywi ludzie,
Kiedy się jutrznie rozświetlają w dali,
Zaiste — lepiej głowy w ziemię chować
I w noc iść czarną — a dnia nie rachować.

Nie płonny tylko krzyk z serca wybiega,
Kiedy tem sercem do trzewi targnięto,
Z wnętrza się siła na światy wylega,
I czuje ramię jak rozrywać pęto,
I krwawa mowa ku ustom podbiega,
I suknia nęci schowana na święto...
...Nie poetyckie to wizje i wzloty,
Ale szczerego Życia promień złoty...

Boleść nie rodzi nic — krom aureoli,
I krom tych skrzydeł, co na nic są żywym,
Siły się malą, gdy Duch - męka boli,
Więc tylko zgrzytem zadźwięczeć straszliwym.
Zgrzytem uchwycić za to ostrze doli,
I jako ono być nielitościwym
...Przed się iść, z mieczem spłomienionym w dłoni,
A ujrzysz, jako Życie się pokłoni.

Ze studjów nad Krasińskim.

(„Władysław Herman i dwór jego“ Krasińskiego i „Otello“ Szekspira).

Kwestję wpływów na „Władysława Hermana“ rozbierano dość obszernie. Zwrócono więc uwagę jako na źródła historyczne czy literackie, z których czerpał Krasiński, i na Walter-Scotta (powieść „Kenilworth“) i na Lelewela i „Zbigniewa“ Niemcewicza, że wymienię ważniejsze[1]). Prof. Antoniewicz uwzględnił nawet Szekspira — w charakterze Władysława Hermana dopatrywał się „lekkiej przymieszki króla Leara“,(?) Do tych źródeł już wykazanych należy dołączyć i Otella.

Za czasów młodości Krasińskiego Szekspirem w Warszawie zajmowano się dość żywo[2]), „Otella“ za dyrekcji Osińskiego wystawiano na scenie warszawskiej[3]). W powieści naszego poety znajdujemy dwa cytaty z Szekspira (nieautentyczne, odtworzone może na podstawie przedstawienia w teatrze). Szczegóły te poprą prawdopodobieństwo oddziałania, co się przy zestawieniu obu utworów wyraźnie okaże.

Motywy główne i osnowa akcji w obu utworach analogiczne: połączenie się dwojga kochanków wbrew zewnętrznym przeszkodom i walka z niemi — to motyw pierwszy, akcja zewnętrzna bardziej, drugie — to rozwiązanie tragiczne tego węzła wynikłą z zemsty intrygą, zazdrość w mężu wywołującą — to akcja wewnętrzna. (Różnica w tem, że Jago mści się na Otellu z powodu urażonej ambicji i podejrzenia, iż Otello żonę mu uwiódł, Mestwin natomiast zemsty łaknie za to, że Hanna nim pogardziła — w „Otellu“ o miłości Jagona do Desdemony, o czem mówiła powieść, z której Szekspir czerpał, tylko pobieżna wzmianka). Zasadnicza odrębność w tem, że w „Otellu“ walka na zewnątrz kończy się już w I. akcie, dalsze 4 akty to przygotowanie i przeprowadzenie intrygi przez Jagona; u Krasińskiego motyw pierwszy akcji wypełnia znaczną część powieści aż do rozdziału XIV., a występuje nadto i w dalszym jej ciągu. W dziełach obu tragedja zazdrości; u Szekspira wyłącznie, u Krasińskiego w znacznej części, a ściślej w „Władysławie Hermanie“ tragedja namiętności wogóle. (Zbigniew).

Podobne zajścia i sytuacje: poślubienie Hanny przez Zbigniewa a Desdemony przez Otella wbrew woli ojca, fakt, że Hanna zaręczona była z Mieczysławem, a Desdemona znała Kassja, że obie wstawiają się za nimi, przyczynia się do wybujania podejrzeń. Motyw wykradzenia darowanego przedmiotu, celem uzasadnienia podejrzeń (Jago wzbudza przez to zazdrość w Otellu, Mestwin pragnie Hannę przekonać o niewinności męża) przypatrywania się zdala prowadzonej rozmowie i branie z tego dowodu wiarołomstwa: w „Władysławie Hermanie“. Zbigniew przypatruje się rozmowie żony z Mieczysławem, u Szekspira z opowiadania Kassja Otello nabywa pewniki o winie żony. — Tak Jago jak Mestwin posługują się pomocnikami dla wykonania swoich planów; potem chcą się ich pozbyć dla zatarcia śladów — Jago przebija Rodryga, zabija żonę, Mestwin morduje Gierdę, każe zabić Skarbimira. Hanna i Desdemona przeczuwają zbliżające się nieszczęście — Hanna ma pewne do tego podstawy — przed śmiercią przebaczają swoim mężom. (Desdemona Otella uniewinnia). Powiernice ich, Katarzyna, Emilja, również giną. Otello i Zbigniew przypadkiem dowiadują się o niewinności swych żon i o okropnej pomyłce; mszczą się na doradcach. Otello rani Jagona, Zbigniew zabija Mestwina.

Na podłożu tem szczegółowo wyżej wymienionych sytuacji i motywów pokrewnych zachodzi odmienne konstruowanie charakterów, scen poszczególnych, akcji całej. U Szekspira przedstawiony jest rozwój namiętności, charaktery wzięte z życia, u Krasińskiego, młodzieńczego wówczas, kreślącego na modłę Walter Scotta romans rycerski — zewnętrzność akcji, poleganie na efektach, nieruchomość charakterów jednolitych, prawie szablonowych, które ujawniają swe rysy jednakowo w ciągu całej akcji, a raczej zdają się je na pokaz wystawiać. I stąd bardziej zróżnicowanym jest Otello od Zbigniewa, którego cechą jedyną namiętność. I stąd gdy Mestwin w pierwszej części powieści jest abstrakcyjnem wcieleniem złych cech Zbigniewa, a w drugiej demonem, układającym odrazu plan zemsty cały i przeprowadzającym go odrazu — Jago nienawidzi, bo nienawidzieć musi, bo takim jest jego charakter, korzysta jeno z przypadków i okoliczności, wpatrzony w zemstę zapominać się zdaje o jej powodzie. Ilustracją doskonałą odmiennego postawienia charakterów i przeprowadzenia akcji są sceny analogiczne w których Jago i Mestwin przekonać się starają swych panów o wiarołomstwie żon. Mestwin wyjawia wszystko, od razu, Jago zwolna i ostrożnie idzie do celu: zaczyna od półsłówek, odmawia zrazu odpowiedzi, by tem silniej wzburzyć namiętność, by wreszcie wśród ciągłych zastrzeżeń i pozornych uspokojeń powiedzieć wszystko.

Nie o porównanie nam tu chodziło obu pisarzy; czynić to na podstawie młodzieńczego utworu Krasińskiego byłoby rzeczą bezcelową — lecz o dobitniejsze wykazanie cech twórczości w tym okresie. — Krasiński wziął tu z Szekspira

---

[1]) por. Antoniewicz: Z. Kras. i dzieło Tarnowskiego. Przegląd Polski r. 1896. t. 120, 121. Reiter: Przyczynki do genezy kilku utworów... Ateneum Polskie, 1899. III. str. 480.

[2]) por. m. i. studjum Zahorskiego w t. IX. Dzieł Szekspira (wyd. Biegeleisen).

[3]) Ciołkosz: Teatr narodowy w Warszawie... w latach 1813—1830. Sprawozdanie szkoły realnej w Tarnowie za rok szkolny 1903—1904.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Józef Okołowicz. Na morzu Kraków 1910. Cztery nowele z życia Polaków w Paranie.

Mamy już dziś Polskę nie tylko w Europie, w starej naszej, bolesnej ziemi. W Stanach Ameryki północnej, w egzotycznej ı aranie rozwija się silnie, intensywnie życie polskiego emigranta.

Po zawodach życiowych w kraju, po długiej, męki pełnej podróży, przyjeżdża chłop polski z Galicji czy Królestwa i tam, na krańcu świata do pracy się bierze, ziemię dziewiczą w rolę przekształca, całą siłę rąk swoich, trudu swojego na ten nowy teren walki przynosi i czyni jak może i co może.

Jest smętna, a jednakże i siły pełna nuta poetyczna w tej wędrówce za morze, w tem zmaganiu się ludu polskiego z losem ciężkim, z dolą niedolą, z tą ziemią obcą, z nowymi życia warunkami i wreszcie z tą duszą własną żywą jeszcze od wspomnień i pamiątek, które wytrzebić trudno i zagasić się nie chce.

Nie dziw, że temat emigracji ciekawy a ważny w obecnem życiu naszem — Konopnicką do napisania pana Balcera nakłonił.

Pan Okołowicz wydał parę nowel z życia emigrantów w Paranie. Karmiła go mniej wyobraźnia poetycka —niż świadectwo oczu własnych, sam bowiem zna bardzo blisko losy naszych Parańczyków i kraj przez nich zamieszkały.

Książeczka ma wartość dokumentu, autor w beletrystycznej formie zaznajamia czytelnika z codziennem życiem tej nowej polskiej ojczyzny, w której zamiast żyta i owsa rodzi się fizon i kukurudza, tytoń, herwa, — gdzie na Boże Narodzenie ani śniegu ni mrozu, dokoła zielono jak w lipcu, lato....

I dowiadujemy się, że tam, w podzwrotnikowym kraju — serce emigranta gra tęsknotą za starą, rzuconą ojczyzną, że drgają w niem nuty rzewne, te nuty, które nam radość przynoszą. Bo oto w Rio — Claro stary Kępa, jak darem największym — cieszy się elementarzem, z którego gromadki dzieci uczy po polsku, — w kolonji swojej, na kraju lasów nieprzebytych rozzłożony Grzesiak w imię tej elementarnej nauki polskiej — na bohaterstwo się zdobywa. Na wieść o ruchu rewolucyjnym w kraju — zaoszczędzone krwawym trudem pieniądze — oddaje na szkołę, by i tu „ojczyznę budować“...

Jak żyją i jak czują chłopi polscy parańscy jest rzeczą ważną i ciekawą, p. Okołowicz wie o tem i w zajmujący sposób z czytelnikiem się dzieli. Żałować należy, że autor zaledwie parę szkiców ze stosunków tamtejszych wydał. Ostatnia nowela „na morzu“, mówi o starym włochu Touissim, któremu prawdy życiowe, jedna za drugą wydzierały wiarę, zasiewały w serce zwątpienie. Wśród zgliszcz i ruin wewnętrznych — raz jeszcze szukać probuje, puszcza się w podróż daleką, za morze, w świat nowy... Po drodze przychodzi śmierć. Zwłoki wyschłe, nędzne, niepewnościami za życia szarpane — marynarze w płachty płócienne zawinęli, ciężarki przytroczyli i rzucili je w odment, w tajemnicze dno morza, na wieczne zapomnienie.

Marcelina Kulikowska.

NOTATKI.

tentyczności zabytku, za drogie pieniądze nabywają przedmioty, wykonane zręcznie przez ludzi zawodowo uprawiających osobliwą gałąź przemysłu artystycznego — fałszowanie i podrabianie starożytnych dzieł sztuki.

Nie ma też zabytków, którychby obecnie nie podrabiano masowo i niezasypywano nimi tak zbiorów publicznych jak i prywatnych. Od drobnej monety rzymskiej czy greckiej, do wspaniałych rzeźb w marmurze, bronzie lub drzewie wszystko to stało się przedmiotem mistrzowskiego podrabiania i sprzedaży za pokaźne zwyczajnie sumy.

Bardzo wysoko cenione, częstokroć prawdziwe dzieła sztuki, monety greckie i rzymskie podrabiają fałszerze tem chętniej, iż połączone to jest z mniejszym nakładem pracy i trudu, niż n. p. podrobienie starej rzeźby lub obrazu. Z niezwykłej zręczności w podrabianiu monet rzymskich słynęli w czasach Odrodzenia Jan Cavino i Aleks. Bassiano, w początkach zaś XIX. w. niejaki Beckier w Spirze, który z bajeczną wiernością grawirował 331 stempli fałszywych monet greckich, rzymskich i średniowiecznych. Gotowe okazy składał do skrzynki wypełnionej piaskiem i wiórami żelaza, i zawieszał ją potem u często używanego powozu, ażeby przez tarcie mogły się wygładzić i nabrać delikatnego połysku.

Sposób otrzymywania nadzwyczaj rzadkich, lub unikatów znanych monet polega na tem, wieniu sprawy z „zabytkiem" scytyjskim odkryto, iż głowa tego „Adama" jest kopią pewnej znanej figury, a za wzór reszty ciała służyła statua z innego muzeum.

Powszechną uwagę zwróciły w ostatnich latach niefortunne zakupna rozmaitych wielkich muzeów. Zwłaszcza w nabywaniu obrazów starych mistrzów przytrafiło się najwięcej niespodzianek tego rodzaju. Zakupiony n. p. za 12.000 M. przez muzeum Kolonji obraz, podawany za dzieło A. Kuypa, został rozpoznany przez dyr. nowego Muzeum państwowego w Amsterdamie, K. Brediusa nie tylko jako fałszywy, ale wprost jako bezwartościowy.

Były dyr. londyńskiej Galerji narodowej kupił oprócz fałszywego Perugina. miernej kopji, także za 150.000 M. starą kopię z Dürera i wskutek tych właśnie nieudałych zakupów stracił swoją posadę.

W zbiorze, ofiarowanym w 1893 r. miastu Bath w Angiji przez Sir Williama Holburne wykryto w 1905 r. przy dokładnych badaniach na na 250 obrazów nie mniej jak 200 fałszywie przypisywanych największym mistrzom. Ponad 150 usunięto ze zbiorów.

Bardzo wysokie ceny, płacone w dzisiejszych czasach za rzadsze sztychy, mniej lub więcej ładnie zachowane, zachęciły rozmaite czarne duchy do działania i w tym kierunku, praktykowanym zresztą już w XV. w. Sztychy Schongauera

12. NUMER. CZERWIEC 1910. ROK II.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Faustyna Morzycka.

(*Wspomnienie pośmiertne*).

Podnieśli trumnę... Zaczerniała nad obłokiem jasnych wiosennych kwiatów, ogromnej kwiatów powodzi, która spłynęła ku niej z serc przyjaciół, tu jeszcze pozostałych...

Ona sama kochała kwiaty... i była jak kwiat... jak kwiat...

Nosiła na płatkach swoich tylko piękne, żywe, młode i świeże barwy życia... i w kielichu swoim miała tylko te najsubtelniejsze, te najpiękniejsze wonie... które czarują i poją...

Była jak kwiat... Nie śmiało się tej duszy nic, co piękna nie mieściło w sobie... Była jak kwiat... otwierała się tylko ku jasności, ku słońcu, ku niebu...

Na tę duszę — kwiat, patrzyli ją otaczający. I kto na nią spojrzał, widział piękny kształt, cieszył się barwą i nie myślał, nikt nie pomyślał, aby inaczej być kiedy mogło. Jej przeznaczeniem było kwitnąć w ogrodach życia, w tych ogrodach, gdzie wszystko odnaleść można — od najbujniejszego, rozpostartego ku niebu silnymi konarami dębu — aż do oślizłych, brzydkich, szarych, na zimnych, wilgotnych kamieniach narosłych pleśni.

Na kwiat — duszę patrzył każdy i każdy się widokiem jego cieszył...

To była jedna strona jej życia, strona w którą ona całą swą siłę włożyła: żyć tak, aby z życia jego radość innym wykwitła.

A ona sama: a jej własne czucie, a jej własne radości, a jej własne bóle?...

Żyła przecież na świecie raz tylko i to jedno, jedyne jej życie, winno było dla niej samej, dla jej wnętrznej istoty zakwitnąć w barwę życia i kształt pełny...

I ona, która zawsze dla wszystkich innych oczu i dla wszystkich innych serc była kwiatem... czyli w głębi duszy swojej i w głębi serca swego znalazła nieco barwnego szczęścia dla siebie, dla siebie samej?...

* * *

Umarła Faustyna Morzycka. Parę zaledwie drobnych danych znam z jej życia...

Córka powstańca urodzona i wychowana w poezji smutnych, ciężkich jak kajdany skazanego czynów. Sama niezwykle wrażliwa, niezwykle piękna — wyciągnęła ręce własne słabe, bezbronne — ku temu światu, który na progu życia ujrzała. Miała talent literacki i miała jakiś tłumiony ciągle ogień w oczach.

O swoim talencie literackim mówiła: jest przecież za mały, aby nim żyć..., pisać trzeba dla ludu, praca ta iść winna w pierwszym rzędzie... Pożar w jej oczach przygasał, chował się w jakiś głąb, mgiełka melancholji, jakiegoś bardzo głębokiego smutku na źrenice schodziła...

— Trzeba pisać dla ludu... I pisała ładne, proste, nauczające, pożyteczne książeczki i dawała lekcje, zakładała ochrony, wygłaszała odczyty...

Widziałam ją kiedyś, gdy wracała ze wsi, z odczytu... Jej biedne, chore już, zmęczone ciało zdawało się wypowiadać posłuszeństwo... Bardzo się dziś zmęczyłam, utrzęsłam się na wozie, bo kolej już tam nie szła, a trzeba było jechać... To nic... to nic dodała po chwili, słuchaczy było tyle — wrażenia moje były takie...

W szufladzie jej stolika, w biednym, małym pokoju, który zajmowała w tych ostatnich kilku miesiącach tułaczki, leżał rękopis dramatu... Opowiadała o nim... mówiła jak o czemś bardzo drogiem, ale mówiła z wielką nieśmiałością:

— Inni piszą, wyrósł u nas Żeromski, Wyspiański, ci wszyscy wielcy...

Patrzyła na nich z podziwem i z wiarą... kiedyś tylko, kiedyś tylko westchnęła.

— Jak w życiu strasznie ciężko...

Ale to był głos przytłumiony już zaraz siłą największej woli. Na ustach znowu wykwitł ten sam uśmiech, który za wszelką cenę na te usta był wywoływany...

Znałam ją nie wiele... Miała w sobie ta postać kobieca: ta dusza kobieca dziwny urok, ten urok, który powszechnie się kobiecością zowie... Miękkość niesłychaną linji, słodycz niesłychaną głosu i spojrzenia...

Ach, jakże było miło spojrzeć na nią...

A wszystko jej, jej własne, do niej tylko wyłącznie należące... kryło się za bladą, niemal niedostrzegalną mgłą w głębi tych pięknych palących się bezustannym ogniem źrenic...

Przed śmiercią rękopis dramatu zniszczyła.

Marcelina Kulikowska.

Wieliczka za Sasów.

Kopalnie soli w Wieliczce zawsze były ziemi polskiej największą osobliwością. Znano je na całym świecie, opisywano pod każdym względem, a w Polsce uważano je za jakiś mistyczny dar niebios, miejsce cudowne i cudotwórne, wsławione bezpośrednią interwencją boską i świętych, miejsce dziwnego, niewyczerpanego zda się bogactwa, z którego król i kościół, zasługa i handel korzystały bezustanku i bez miary.

Jakoż zdawało się ludziom, że nie było początku i nie będzie końca wielickim kopalniom. Wiadomości historyczne o nich sięgały w mroki najdalszej przeszłości, tak że podanie o św. Kindze stało się epizodem tylko. Zaraz pierwsze dokumenta pisane zawierają wzmianki żupne; pierwsze księgi drukowane pełne są opisów tego dziwowiska przyrody. Niezliczyłby owych, „obserwacji“ żup krakowskich, owych „przyjemnych i prawdziwych“ opisów, nawet wierszem elegijnym, materjałów zaś archiwalnych pozostało tyle, że starczyło ich na biblioteki (najwięcej w bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie) i prywatne zbiory (między innymi dra Czołowskiego) a raz wraz jeszcze znajdzie się fascykuł lub księga, niezinwentowana dotychczas, ani opisana.

O jednej takiej księdze, krótką wiadomość zawiera niniejszy artykuł i jednego rysunku reprodukcję. Bo saliny wielickie nęciły fantazję malarzy i rysowników, nie mówiąc już o tem, że praktyczna potrzeba kazała czynić od czasu do czasu pomiary geometryczne, z których pierwszy znany wyszedł od Jana Brożka z Kurzelowa słynnego matematyka, astronoma i astrologa akademii krakowskiej z początkiem XVII. w. Za Władysława IV. zrobił geometra German drugi plan o bardzo klasycznym tytule: „Nić Ariadny w labiryncie“. Rytował go igłą na miedzi najsłynniejszy ze sztycharzy w Polsce pracujących, Wilhelm Hondius, na czterech tablicach, na nich zaś pomieścił także widoki kopalni i rodzaje robót pod ziemią, z objaśnieniami w języku polskim.

Po raz trzeci wymierzył kopalnie wielickie Jan Gotfryd Borlach w r. 1719, życie w nich odrysował B. Müllers, sztychował zaś J. E. Nilson. Całość składa się z czteru kart, z których pierwsza przedstawia idealny przekrój kopalni razem z życiem i pracą w jej wnętrzu. Obraz bardzo ciekawy i charakterystyczny, dający do pewnego stopnia doskonałe wyobrażenie o środkach i sposobach współczesnego górnictwa, prymitywnych, lekceważących życie ludzkie i urągających wszelkim wymogom bezpieczeństwa. Dołączona tu reprodukcja w kilkakrotnem pomniejszeniu wprowadza nas w tę pracę podziemną, odbywającą się pod auspicjami Augusta II., i w administracji jego ministra Brühla.

Komentarzem zaś do niniejszego obrazu może być, aczkolwiek nieco wcześniejszy, protokół „komisji w żupach krakowskich anno Dni 1698 odprawionej“, zawierający cały tom w pergamin oprawny, a spisany przy oddawaniu żup Janowi Lubienieckiemu w czteroletnią administrację. (Obecnie własność p. Jakóba Bojki).

Wspomniana komisja, w skład której wchodzili Stanisław Morsztyn wojewoda mazowiecki, Stanisław Podlewski regent koronny, Andrzej Żydowski chorąży krakowski, Piotr Kczewski pisarz pokojowy królewski — zeszła do żup wielickich w czasach bardzo ciężkich. W świeżej jeszcze było pamięci krwawe bezrobocie górników w r. 1690 zakończone wbiciem na pal czteru przewódców, ćwiertowaniem sześciu innych, ścięciem jednej kobiety i chłostaniem reszty, przed dwoma znowu laty wybuchł pożar we wnętrzu kopalni, który trwał tak długo, dopóki wszystko drzewo się pod ziemią nie wypaliło, w samym wreszcie roku 1698, nieledwie w oczach komisji, zapadły się dwa domy w pobliżu szybu Górsko.

To też komisja znalazła kopalnie w stanie niebardzo wesołym. Zjechano wprawdzie bez wypadku szybem Regis, który „reparacji potrzebuje od spodu do połowy“ ale już do komory Nadachów wnijść niezdołano, bo ta „smrodem zaszła i trzeba sposób wynaleźć, żeby wiatr puścić dla wypędzenia tego smrodu“.

Koło szybu Wodna góra, w komorze Bazaniec była wielka kaplica drewniana, w której wybuchł pożar przed dwoma laty. Komisja zdołała stwierdzić, że przyczyną katastrofy była nieostrożność pewnego sztygara, który zapomniał pogasić świece przed ołtarzem. Tutaj też i w sąsiednich komorach zniszczenie było największe.

W sposób bardzo dokładny i szczegółowy, wszystko pilnie notując, przeszła komisja jeden po drugim szyby Lois, Buzenin, Boża wola, Seraf, Górsko, Danielowiec, Leszno, Janina, z przyległymi komorami. Jedne z nich potrzebowały pilnej reparacji, inne były „cale dobre“ gdzieniegdzie były jeszcze ślady pożaru z r. 1644, tu i ówdzie woda zaciekała, grożąc zalewem. Komisja jednak znajdowała radę na wszystko a w powodzi wyrażeń górniczych dysponowała naprawki, ulepszenia, środki bezpieczeństwa. Zwłaszcza komora Żurów ze wszystkich najniebezpieczniejsza dużo narobiła troski komisarzom. Ściana tam bowiem cała zawaliła się, tak że budynki na powierzchni znalazły się w wielkiem niebezpieczeństwie. „Urząd bachmistrzowski protestował się, że nie on winien będzie, kiedy prędkiego ratunku nie będzie i wielka stanie się szkoda (czego strzeż Boże!“). Protestacja jednak nie pomogła, niezbędnych robót nie przeprowadzono, a skutkiem tego i mimo pobożnego westchnienia komisji, stało się to co się stać musiało, bo kilka chałup istotnie w głąb się zapadło wielkie czyniąc szkody w kopalni.

Natomiast kaplica solna wywołała prawdziwy zachwyt u komisarzy: „Ta jest misterną robotą w samej ścianie solnej z całej i nieruchomej masy, z ołtarzem, obrazami, lichtarzami, osobami wyrobiona, dzieło jako podziwienia godne tak od ognia cale bezpieczne. A ponieważ dolny robotnik zjeżdżając do robót i schodząc w tej kaplicy

Nowa Reforma. 28 czerwca 1910 r.

Samo życie.

Bronisławie Rychter-Janowskiej.

Samo życie! — samo Życie w oczach gra...
Rozpaliła się w pochodnię Życia skra...
Do roboty, do serdecznej ręka drży,
Na nić własną, niże — niże — śmiech i łzy...
W malowanie łzy ubrała, stroi świat...
W melancholię czaru patrzy niskość chat,
W złote światła ustrojony nocny mrok,
Gdzieś tam idzie... gdzieś tam błądzi ludzki krok...
Góry patrzą, smutne góry — płynie mgła,
A w czekaniu i tęsknocie dusza trwa...
Płyną czasy... popłynęły... pustka.. nic... —
Rzewność patrzy, ból i smętek z czułych lic...
...Gdzieś się chyli z szarą strzechą wiejski dwór,
Gdzieś w wieczornych zorzach stoi czarny bór...
Gdzieś po szarej ziemi orze polski chłop
Gdzieś związany w polu leży martwy snop...
Smętek szary, blady smętek pośród burz
Wypełniona łzą pamiątek złota kruż
Gaśnie słońce... wszystko w szary spada krąg
I ten pędzel, druh jedyny pada z rąk...

Kraków, 10 czerwca 1910 r.

Marcelina Kulikowska.

„ | „ 12 „ | 4 „ — „
nadsyłać wprost do Administracyi
kowie.
ów, ulica Jagiellońska 10.
Nr rach. poczt. Kasy oszczęd. 857.484
kcya nie zwraca.
rze dzienników A. Olszewskiego, ulica
lica Karola Ludw. 9.
yłką pocztową 12 hal.

NU

w których partya niezawisłości ze swoim programem roku 1848 r. uważana była za grono niepoprawnych marzycieli politycznych.

I tak zapowiada ona uregulowanie sprawy bankowej wyłącznie na zasadzie dalszej wspólności, tak samo odnowienie konwencyi monetarnej. Dodane zaś do tej zapowiedzi tak pożądane przez Węgrów przyrzeczenie podjęcia wypłat w gotówce jest zbyt ogólnikowe, iżby mogło wywołać zadowolenie. Mowa domaga się dalej wzmocnienia siły zbrojnej państwa i zapewnia jedynie, że rząd przytem mieć będzie wzgląd na finansowe i materyalne siły narodu, lecz nie przyrzeka za to żadnej nagrody w postaci narodowych ustępstw na rzecz znanych postulatów madziarskich w dziedzinie wojskowej.

...nizacyi administracyi we-

wyłącznie są urzędnikami, właścicielami majątków, kopalń, sztygarami, inżynierami i majstrami w fabrykach, — narzucają ludowi polskiemu w obcowaniu swój język.

Lud polski od wieków niemczony przez szkołę, niemczeniu temu uległ. Przez długie lata każdy, kto z ludu śląskiego podnosił głowę, kształcił się, przyjmował język i obyczaje niemieckie.

Przed potęgą niemieckiej władzy, niemieckich bogactw i niemieckiej kultury, kornie chylił głowę biedny chłop śląski, języka swego, narodowości swej wstydząc się.

Dopiero, gdy w pierwszej połowie XIX w. zaczęto w całej Europie domagać się praw dla ludu, gdy około 1848 r. lud o te prawa sam dopominać się zaczął, zwrócono uwagę na to, że lud na Śląsku jest polski. Kto chciał do tego ludu się zbliżyć, być przez niego zrozumiany, musiał doń przemówić po polsku. Rozpoczęła się na Śląsku praca nad odrodzeniem narodowym ludu. Pojawiły się polskie pisma, polskie książki, polscy nauczyciele.

Praca szła szybko, lud śląski już w 1848 r. o prawa swoje się upominał, wybrał do sejmu w Berlinie polskich posłów i polecił im żądać, aby w sądach, urzędach, szkołach na Górnym Śląską używano języka polskiego, polecił posłom śląskim łączyć się w sejmie berlińskim z polskimi posłami z Wielkopolski. Na zjeździe zaś słowiańskim w Pradze czeskiej, wysłańcy Śląska oświadczyli, że Ślązacy stanowią część narodu polskiego.

Przez lat 500 oderwana od całości narodu, rzucona na pastwę germanizacyi, ludność Górnego Śląska wracała, węzły łączące ją z Polską nie były zerwane.

Lecz przeszedł jeszcze czas ciężkich prób.

Po zwycięskiej wojnie z Francyą (w 1870 r.), wzrastające w potęgę Prusy cisnąć zaczęły wszystko, co słabe, wchłonąć i sprusaczyć chciały wszystkich.

Rząd berliński rozpoczyna prześladowanie obcoplemieńców. Szkoła przymusowa, państwowa staje się źródłem germanizacyi, wygnano z niej język polski, nawet pacierz polski. Dzieci od lat 6 — 14 urabiane były na małych Niemców, ale lud górnośląski, zgromadzony w wielkie grupy przy fabrykach i kopalniach, zjednoczony językiem, pochodzeniem, niedolą ciężko pracującego, a licho płatnego robotnika, łączył się i stowarzyszał; w wzajemnej pomocy i współżyciu znajdując siłę i oparcie.

Prześladowanie narodowe spotyka opór, budzi poczucie odrębności praw, wywołuje na Śląsku ruch narodowy polski [1]).

Na Śląsku górnym. [2])

„W Słońcu". Warszawa 15/9. 1919 r.

Sprzedawano dawniej w Katowicach ilustrowane karteczki pocztowe, na których widać było wstęgę rzeczną, płynącą z północy na południe, a do niej wlewające się od wschodu węższe ramię dopływu. Srebrne wody wiły się licznemi zwrotami wśród pól zielonych, dzie-

---

[1]) Materyał można znaleźć w książeczce: L. Wasilewskiego: Śląsk Polski. Arct. Książka dla wszystkich, oraz B. Limanowskiego: Odrodzenie i rozwój narodowości polskiej na Śląsku. Kraków, wyd. Życie.

[2]) Urywki z książki M. Kulikowskiej: Z wędrówek po kraju.

ląc je na trzy części. Ponad widoczkiem odbito na trzech medalionach trzy podobizny monarsze. Na dole kartki napis: „Dreikaiserreichsecke bei Mysłowitz“ (kąt trzech obrany przy Mysłowicach).

Rzeki te bowiem, to obie Przemsze: Biała i Czarna, dążące ku Wiśle i tworzące pod Mysłowicami naturalną trzech państw granicę.

Oto tu, na tym małym skrawku ziemi unaoczniony był cały ból naszego serca.

A tu, i tam, i z tamtej jeszcze strony—układały się jednemu narodowi trzy bolesne drogi, trzy istnienia, wypełnione codziennym czynem obrończym.

Lat tyle wody Białej i Czarnej Przemszy tworzyły granicę pomiędzy trzema państwami, tu i tam, i tam jeszcze ciż sami ludzi, a jednakże już różni, oddzieleni dziejami własnemi, które na nich osobliwe, swoiste położyły piętno, różniące: Polaków z pod Moskala, od Polaków z pod Austryaka i Polaków z pod Prusaka.

Przejeżdżając przez ten kąt ziemi koleją — doświadcza się licznych, bezustannych wrażeń. Wsiąść trzeba w Mysłowicach do klasy IV, by mieć przed okiem tłumy różnorodnych podróżnych, mieniących się rozlicznemi barwami, opowiadających strojem swoim, mową, obyczajem — historyę własną oraz momenty dziejów trzech dzielnic.

* *
*

Katowice — pierwszy na mojej drodze znaczniejszy punkt Zagłębia Śląskiego. Miasto czyste, rozbudowane wygodnie z pięknemi hotelami, z mnóstwem eleganckich sklepów, w których z za lustrzanych szyb wyglądają nęcąco towary. Z za kordonu przyjeżdżali tu Polacy po sprawunki. Pobyt dla tych Polaków, nieznających języka niemiec kiego, bardzo ułatwiony. Na stacyi, w hotelu, restauracyi, w sklepie każdym po polsku każdy odpowie i mile się uśmiechnie.

Z Katowic tramwaje elektryczne co minut kilkanaście rozchodzą się do poblizkich osad fabrycznych i kopalń. Komunikacya wszędzie wyborna, drogi szerokie, czyste, jedzie się pośród starannie utrzymanych pól, gdzieniegdzie ogrody, laski, drzewa przydrożne, tu, lub z tamtej strony budowle fabryczne, domy robotnicze, osady, które są właściwie całemi miastami. Nad samą granicą dawnego Królestwa leży osada Huta Laury. Trafiłam na dzień targowy. Przekupnie na rynku ze wszystkich trzech stron naszych: i stąd, z pobliża, ze Śląska, i stamtąd, z „Polski“, jak tu mówią o Królestwie, i z „Cesarski“, to znaczy z Galicyi. Ruch zwykły targowy, kupcy wychwalają głośno swój towar.

Gromada chłopców dziewięcioletnich z książkami i zeszytami w rękach powraca ze szkoły.

— Która godzina, dzieci?

— Połowa jedenasta—tłumaczą z niemieckiego i mówią ze mną dalej po polsku, „jak im dzioby porosły“, ale już językiem połamanym, o akcencie cudzoziemskim. Obok przechodzi starsza kobieta, która do jednego z chłopców przemawia. Słucham i porównywam jej czystą bez obcych naleciałości mowę.

O szkoło pruska! szkoło pruska, zniekształciłaś i zepsułaś stary, bogaty język...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Drugim etapem w podróży mojej na Śląsk jest Raciborz.

Stoi w Raciborzu odnowiony zamek Piastowski. Stoi tam, po tamtej stronie wezbranej Odry, a dookoła niego błąkają się imiona Władysławów, Mieszków, Przemysławów, książąt Raciborskich.

Dziś w odnowionym zamczysku mieści się browar.

Rano... Niedziela... Słychać bijące z wieżyc kościelnych dzwony... Ludzi na ulicach wiele...

Publiczność z miejska ubrana mówi tylko po niemiecku — ludność ze wsi na nabożeństwo przybyła — po polsku.

W pewne niedziele odbywają się tu kazania polskie, w pewne— niemieckie. Systematycznie prowadzi się germanizacyę drogą kościelną.

Miejska ludność Raciborza niemiecka. Na sklepach nie widzę napisów polskich, nazwiska właścicieli przeważnie o brzmieniu słowiańskim.

I w księgach adresowych, gotyckiemi literami, dziwną ortografią, stoją wypisane imiona swojskie: Dyrschka, Offczarek, Plotzitz, Scheffczyk, Schibalsky i t. d. i t. d.

Ludzie ci może nazwisk własnych nie umieją wymawiać i słuchać nie umieją tętna własnej, starej krwi...

W hotelu mało kto ze służby odpowiedzieć mi może po polsku.

W sklepach jednak, wszędzie, gdzie tego zechcę—po polsku rozmówić się mogę.

Mój polski język budzi żywe zainteresowanie.

— Tak paniuchna blank po polsku rządzą...

— Fajno poredzą frejliczka...

— Teraz niema słychunku rządzić po polsku na Śląsku — mówi stary, podróżny wyrobnik, w wyszarzałe ubranie odziany.

— A przedtem?...

— Przecie ja się we szkołach po polsku jeszcze uczyłem—oni to młodsi nie—a dzieci małe to już tylko po niemiecką teraz uczą...

— A jakże było milej?...

— Najmilszy jest język, którym matka rządziła — mówi poważnym, z głębi dobytym głosem.

Nazajutrz i dni następnych w okolice Raciborza wyjeżdżałam. Jedzie się tak IV klasą od rana, bocznemi drogami, któremi już tylko ludność miejscowa uczęszcza. Ten przebieży jedną, ten dwie, ten cztery i więcej stacyi. Ten do roboty, tamten w mieście coś kupił, wiezie z sobą.

Słucham ślicznego języka, jakim mówi starzec.

— Człowiek bo się starzy, moc ja mam lat, — mówi dalej — a służebna to mi się usłuży, jak się patrzy...

— Dzierżałem w ręce kijaszek, to mi go dzieć cery [1]) mojej zabrał. Nie mam ja u nich posłuchu żadnego...

— Słabiście, ojcze?

— Toć... toć...

Chciałabym, aby mówił dalej, bo mówi prześlicznie. Te stare, jędrne wyrazy—jak poetyckie strofy uderzają o słuch.

Dowiaduję się, że staruszek po niemiecku nie mówi wcale.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

[1]) Dziecko córki.

Dni kilka zatrzymałam się w Opolu. Nad Odrą ładnie położone miasto. Stary piastowski zamek odnowiony, w pięknym, starannie utrzymanym parku. Na szczycie wieży basztowej lat temu jeszcze parę rozpięty był orzeł piastowski. Zdjęto go, zastąpiono pruskim, a stary podobno na podwórzu zamkowym oglądać można.

W Opolu w porównaniu z Raciborzem więcej widzę nazewnątrz polszczyzny. Ludności miejskiej polskiej wprawdzie procent się nie zwiększył (W Raciborzu 30% w mieście, w Opolu 21%), owszem drobniejszy nawet, ale zato okoliczna ludność wiejska (80%) polska przeważa. Na małem, jak Opole — mieście odbija się to wyraźnie: targi, sklepy ludnością polską wypełnione, potrzeby jej językowe do pewnego stopnia uwzględnione.

Na rynku widziałam same przekupki, „rządzące“ po polsku, na firmach sklepowych wiele napisów polskich czytałam. Niektóre z nich niewiele wspólnego z naszym sposobem pisania mają, są to jakieś zabawne dziwolągi, które jakoby udostępniają Ślązakom porozumienie się w ich własnym języku. Dla przykładu szyld sklepowy przytaczam: „Destilacia Fabryka i Szęk likierów, ják zelątkowy, macicny, skorzycowy“.

Chodząc po sklepach przekonałam się, że wszędzie mówią po polsku. Panienki sklepowe, choć się za Niemki uważają — po polsku się uczą, niektóre z nich w domu język ten poznały, jedna opowiada mi, że uczy się gwoli narzeczonego, który jest „kuty Polak“...

W paru kościołach nieco pamiątek po Piastowiczach... Nagrobki bliźnie Bolka Niemodlińskiego i Bolka Opolskiego, u fary genealogia Piastów. W rynku stoi piękny, stary ratusz.

Odra tu szeroka, teraz, jako w porze dżdżystej, pogłębiona i rozlana. Z Opola zrobiłam parę wycieczek na wieś, na południe i na północ od miasta.

Ogólne wrażenie jednakie: pewien dostatek, ład, porządek w gospodarstwie, życie ciche, wiejskie, dzielące od bezpośrednich, namiętnych wybuchów.

Jednakże i tu sprawy polityczne, w chwilach wyborów np., rozgorączkowują ludzi. W Opolskim rozchodzi się „Gazeta Opolska“, redagowana przez pana Koraszewskiego, która liczy wielu gorliwych zwolenników (r. 1910).

Opowiadał mi jeden gospodarz, jak to on w czasie wyborów — od samego zarania na wózku już siedział, ludzi objeżdżał i rozumu ich pouczał.

— Rzuciłem wszystko — ciągnął — dom, żonę, dzieci — a niech tam — tak się to wszystko robiło, robiło...

Oczy mu się jeszcze do tej roboty śmiały. Człowiek niemłody, niezamożny, nie największa we wsi persona.

O uświadomieniu narodowem opowiada długo i szczerze—rzecz ta mu snać na sercu ciężkim kamieniem leżała...

— Tak to i trzeba było — zakończył i już takim przyciszonym głosem, którym się filozofię życia snuje, dodał:

— Wiedzą przecież oni, że za to nikt i nigdzie nie płaci...

Inny opowiadał, jak od dziecka małego „Katolika“ czytywał.

— Posyłał mnie ojciec po gazetkę; gazetkę do szkoły brałem i pod ławką czytałem...

Teraz czytał wiele gazet i książek. Gazety lokalne, śląskie, książki także tu wydawane, innych, w dalszych częściach Polski drukowa-

nych, nie znał. Często zdarzało mi się natrafiać na Śląsku na pewien patryotyzm miejscowy.

— Nic do nas od Was, z dalszych części Polski, nie przyszło — wspomniał ten i tamten z pewną małą goryczką...

Tłomaczyłam, że my wszędzie niezasobni i niemocni.

Spojrzał ten ktoś na mnie, pomyślał i jeszcze się w swoich dawnych sądach utwierdził.

— A tak, musimy my z siebie sami.

Tu na Śląsku trudniej niż gdzieindziej wysnuwać z siebie. Tradycyi niema, mowa się obcemi naleciałościami koszlawi, luźne bardzo węzły z innemi dzielnicami łączą.

* * *

Bytom, miasto przemysłowe, okolone kominami, wewnątrz pospolite, banalne, przepełnione dziś, w niedzielę Zielonych Świątek — spacerującą,strojną publicznością.

Już wiem. Każdy elegancki „kapeluszowiec“ — to Niemiec. Taki „panek“, urzędnik może być z kopalni czy huty, kupiec ze stojącego obok sklepu—szyderczo patrzy na mnie, gdy przemówię do niego po polsku.

Ludu roboczego dziś, w dzień świąteczny, tłum po ulicach się snuje... Przysłuchuję się: „rządzą“ oni wszyscy po polsku. Lud ten, jak zwartą masą, między murami kamienic płynie... Mnogość jego uderza, z tej liczby, z tej ilości—poczucie siły płynie...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Już ku granicy, ku Oświęcimowi pociąg nasz zdąża. Jedziemy ciasno, natłoczeni w przedziale IV klasy. Kilkudziesięciu górników z szychty powraca na noc do domów, do Imielina, do Brzeźnik, do wsi okolicznych. Gazetki trzymają w rękach. Patrzę — wiele, wszystkie prawie niemieckie.

Przypominam sobie, że ludziom tym polskich pism czytać niewolno, że mimo uświadomienia narodowego, które w tej części Śląska jest najsilniejsze—muszą, ze względu na przełożonych, ze względu na ten w pocie czoła zdobyty chleba kawałek — czytać pisma niemieckie.

A tu, właśnie w tych okolicach, w Bytomiu, Katowicach — skupiają się wydawnictwa pism polskich na Śląsku. Wychodzi tych pisemek polskich do 40.000 egzemplarzy (1910 r.).

40.000 egzemplarzy pism polskich — suma pokaźna, zważywszy, że gazetka każda do pięciorga rąk zwykle przechodzi. Dwieście więc tysięcy czytelników... Wiele, bardzo wiele...

Było dla Polski niespodzianką obudzenie się Śląska...

W chwilach rozbioru kraju o tym Śląsku ani kto wiedział, ani się nie radował, ani smucił. Nie wchodziła już wcale w rachubę ta stara ziemia. Nie bolał nikt nad nią i żadnej w niej nie pokładał nadziei. Kiedy wydzierały się ku wolności w krwawym trudzie wszystkie trzy dzielnice — w tamtej ziemi było głucho. — I tylko, po chatach, starzy ludzie starą mową gwarzyli. I gdyby się zbudził ze snu grobowego Skarga czy Kochanowski — poszedłby ku nim, którzy jak na dnie czystej krynicy przechowywali swój skarb. I Skarga i Ko-

chanowski mówiłby z nimi własnym, starym, czystym językiem, który my tak szanujemy wysoko i na którym mowę naszą kształcimy.

Te „Wasserpolaki“, którym szkoła, rząd, wszystko panujące nad nimi ich język wydzierało, dziś w tej gwarze przez niemczyznę zepsutej — mają piękności językowe tak wielkie, że im się przysłuchuję z radością i jeszcze, jeszcze słuchaćby się chciało... Samorodnie, z tego zapomnianego, na zagładę skazanego narodu wynieśli się pierwsi uświadomieni w duchu polskim Ślązacy, wyszli: Józef Lompa, Karol Miarka—na Śląsku Cieszyńskim Stalmach... powstawały stowarzyszenia akademickie we Wrocławiu, wyrastały tu i tam jednostki, których działalność społeczna szerokie kręgi zataczała i codzień utrwalała świadomość narodową... Dziś gazety polskie, Banki ludowe—są to instytucye bardzo poważne, placówki, rozporządzające milionami marek, liczące zastępy całe ludzkie.

Fala płynie. Prawda, i tamta fala niemiecka się wzmaga, naciska, zwalcza, wypiera...

Prawda—mnóstwo miałów fala tamta porywa...

Gdzie siła prawdziwa, gdzie zwycięstwo zatrzymać się może?

Przychodzi na myśl wiersz poety śląskiego, utalentowanego liryka Damrota...

...Smutniej w śląskiej ziemi
Dzisiaj polskich pieśni wieszczom,
Co się darmo między swemi,
Darmo z swojską lutnią pieszczą.

Darmo prawią o piękności
Ojczyzny i przodków sławie
I wzywają do czynności
I do służby w świętej sprawie...

Jedni na nich nie słuchają,
Drudzy już nie rozumieją,
Inni ramiony wzruszają,
I, wyrodki, z nich się śmieją...

Jednakże nie trwa bezgranicznie smutek i przygnębienie poety... Dzień inny zbliża się, dzień nadziei, a więc i radości pełen. Wkrótce mówi on inną mową do serc i za inne już struny pochwycił... Życie bieży... bieży... co wczoraj było, przemija, co jutro da—liczba nieznana... Ale w tej nieznanej przebłyski jaśniejsze — ale w tej bezdennej ciemnej przepaści—światła płonąć poczynają:

Wieszczu! otrząś się z zwątpienia
Porzuć myśli smętne, czarne,
Twoje bóle — to marzenia,
Twoje żale — dzisiaj marne...

Zbudź się z smutku, spojrzyj w koło,
Otwórz serce, nadstaw ucha,
Rozpogodzi ci się czoło,
W duszę wstąpi ci otucha...

Ot minęła zima długa,
Która ludek nasz studziła,
Dziś ten lud oświaty struga
Z wiekowego snu zbudziła...

Jak się z wiosną budzą gaje,
Świeży liść i wiatr szeleści,
Tak wśród ludu szmer powstaje,
Który nową wiosnę wieści.

Tak pisał Śląsk o braciach swoich w połowie XIX w.

Marcelina Kulikowska.

Górnicy śląscy.[1]

Jest ich ośmdziesiąt tysięcy, to znaczy blisko dwa korpusy żołnierzy. Są wykształceni, rozsądni, pracowici. Pierwszorzędni specyaliści, wychowani w dobrej szkole. Wiedzą, czego chcą i wiedzą, dokąd idą. Nie mają strachu. Górnik, na którego czyhają od lat najmłodszych siły złowrogie: gazy, woda, kamienie; górnik, który co dnia i co godzina życie swoje ryzykuje, który rano, zjeżdżając do kopalni, nie wie, czy za godzinę nie zasypie go góra węglowa, co się odłupie od ściany, albo czy go nie udusi gaz, albo czy nie zaleje woda, płynąca tak szybko, że uciec przed nią nie można, taki człowiek nie zna strachu. Gdy co postanowi, wykona. Jest to człowiek spokojny, zrównoważony, politycznie wykształcony i przygotowany. Posiada od wieków poczucie łączności (solidarności), odpowiedzialności za brata, który obok niego pracuje. Co spotka sąsiada dziś, to może jutro spotkać jego samego. Dlatego opiekuje się wdową po sztygarze, co zginął obok niego i sierotami po nim pozostałemi. Wie, że gdy sam zginie, jego żona i dzieci znajdą opiekę i pomoc. Taka świadomość obowiązku wobec klasy górników daje wielką siłę górnikom. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“. Wiedzą dobrze, co to znaczy, właściciele kopalń. Wiedzą, że gdy górnicy postanowią zawiesić pracę, nie będzie śród nich łamistrejków. Nie ustąpią, aż sprawę swoją wygrają.

Górnicy śląscy mają wielkie poczucie narodowości. Gdy się za Polaków uważają, nie zniosą, aby ich kto inny uważał za Czechów albo za Niemców. Nie ustąpią. Ludzie najspokojniejsi zdolni sa do czynów szalonych, gdy im jaka siła przemożna w drogę wejdzie.

Przed paru miesiącami księża polscy ze Śląska, bawiący w Paryżu, aby tam przed Konferencyą Pokoju bronić sprawy Śląska, powiadali, że ci górnicy nie zgodzą się nigdy zostać obywatelami czeskimi. Spokojni zazwyczaj, zdolni będą do czynów, których skutków przewidzieć nie sposób. Gotowi będą zalać kopalnie wodą i zniszczyć warsztat pracy własnej na długie lata, skazać siebie i dzieci swoje na głód i po-

---

[2]) Artykuł mówi o górnikach na Śląsku Cieszyńskim, ale podobnie żyją i pracują górnicy na Śląsku Górnym.

niewierkę, a nie ustąpią. Gotowi będą rozprawić się bez miłosierdzia z administracyą kopalń, która jest czeska i niemiecka, ogłoszą niezależność Śląska, republikę sowiecką na podobieństwo rosyjskiej czy węgierskiej, a nie ustąpią. Ksiądz Londzin, który żyje śród nich od lat wielu i zna ich dokładnie, zapewniał, że wśród tych ośmdziesięciu tysięcy pod tym względem jeden jest podobny do drugiego, jak ziarna zboża w korcu. Niema tam odstępców. Straszna to siła, niczem niezwalczona. Dlatego to, co dziś dzieje się na Śląsku jest tak dramatycznie ciekawe i budzi powszechne zainteresowanie nietylko w Polsce i w krajach ościennych, ale w szerokim promieniu wśród demokracyi i w klasach robotniczych Zachodu.

St. Posner.

Piosnka śląska.

Od śląskich pól, od śląskich niw
Powiało wichrem, hej!
Ślązaku, czyli będziesz żyw,
Czy wytrwasz w mowie swej?...

Od kopalń tam, od czarnych hut,
Dymami niesie w świat...
Czyli zapomnisz, kto twój ród,
Czy mowę wygnasz z chat?...

Na górnym Śląsku szumny lud,
Toć przetrwał długi czas...
Czyli podejmie bój a trud,
Czyli zapomni wraz?...

Nie na wesele, jeno w trud,
We troski, w źródło mąk
Wołamy, weźmież śląski lud
Bolesny miecz do rąk?

Czyli go wstrzyma serca jęk,
Rodzinnych, starych słów,
Czyli przed pracą chwyci lęk,
I zaprze się swych snów?

O, myśli bolą, serce drży,
Co ciemne jutro da...
Ślązaku, węzeł przetniesz ty,
O życie idzie gra...